

DR R. 1966

Dziś w numerze: Miasto niekochane? • Życie obok śmierci • Jakie piękne targowisko • Satyromecyn
• Niebezpieczny spacer • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

Odgłosy



Nr 1 (363)
9. I. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



Wraz z kominiarzami Dosiego Roku wszystkim Czytelnikom „Odgłosów” życzy Redakcja

dalekie lądach

Ci ludzie są wiecznie zabiegani, zaafetowani, mają tyle spraw na głowie, że już nie wiadomo, która ważniejsza. Albo przygotowują się do wyjazdu, albo dopiero co wrócili z dalekich lądów. To przedstawiciele łódzkich central handlu zagranicznego. Jeden z nich, Bogdan Muszycki, akwizytor „Confeximu” powrócił właśnie z Syrii. Ma wciąż jeszcze przed oczami prażące się w słońcu Aleppo. Na rozmowę jednak się zgadza, prośbę bardzo. Jestem do dyspozycji:

- Czy to pana pierwszy wypad poza Europę?
- Skądże, mam za sobą kilkuletni staż handlowy w Sudanie. Obroty z tym krajem są duże. Sprzedajemy Sudańczykom zabawki, stal, no i całe góry węgla. Tamtejsze parowozy bez żadnego wyjątku pracują tylko na śląskim węglu. A trzeba wiedzieć, że kolej jest nad Nilem jedynym, praktycznie rzecz biorąc, niezawodnym środkiem komunikacji. W węglu jesteśmy bezkonkurencyjni. Wygraliśmy od lat wszystkie przetargi. Największymi względami tamtejszej ludności cieszą się jednak nasze herbatniki „Be-Be”. Czy to w Omdurmanie, w Dżabie, Niali, w każdej najbardziej zapadłej wiosce i miasteczku, na każdym straganie i w każdym sklepie sprzedaje się polskie herbatniki. Zalaliśmy nimi cały rynek, sprzedajemy tego na tony.
- Spożycie słodczy jest bodajże bardzo wysokie we wszystkich krajach trzeciego świata. Czym to wytłumaczyć?
- Tradycja, przyzwyczajeniem. Biedacy instynktownie bronią się cukrem przed wyniszczeniem biologicznym. Przy każdej sposobności popijają niemożliwie słodką herbatę i zagryzają słodkim herbatnikiem. W ten sposób oszukują głód, bo cukier daje na krótki czas wrażenie sytości. Zresztą dysproporcje w poziomie życia są ogromne. W Chartumie nie brak hurtowników, którzy obracają tysiącami, a obok na ulicy niedzy przekupień odmierza z wielką pewnością kawałek sznurka za pół piastra. Pacuszki naszych herbatników też przecina się nożem na połwki.
- Czy Sudańczycy zdają sobie z tego sprawę, że używają polskiego węgla?
- Raczej nie. Nie zapominajmy, że

prawie 90 procent ludności tego kraju, to wciąż analfabeci, którzy w najlepszym wypadku rozróżniają w Europie 3 narody, mianowicie: Francuzów, Anglików i Niemców. Nas Polaków z reguły bierze się w Afryce za Niemców. Nie wiem dlaczego, ale to fakt. Natomiast wyższe warstwy społeczne, szczególnie hurtownicy są wysmienicie zorientowani w europejskim układzie politycznym. Ci kupcy są z wyjątku Mużkami, sami jednak uważają się za Polaków. Południe kraju zamieszkuje 100 tysięcy szczepów o charakterze plemiennym, mówiące kilkudziesięciu różnymi językami. Plemiona te są niekiedy, niektóre wciąż jeszcze, to bardzo prymitywne, niektóre natomiast z wyjątkiem Wierzy się nie chce, że tam żyć... Niektórzy uważają, że tak żyć... Niektórzy uważają, że tam prawie niczym. Ci kupcy płacili 20 funtów miesięcznie. Tenże służący trzymał swego własnego służącego, któremu płacił 3 funty.

- Wspomniał pan, że gramy w Sudanie na szerokiej klawiaturze handlowej. Czy znalazło się przy niej miejsce także dla łódzkich towarów?

- Łódź jest obecna nad Nilem. Sprzedajemy w Sudanie znaczne ilości pasmanterii, prócz tego surowki bawełnianej. Narodowym, także codziennym strojem Sudańczyków jest „dżebella”, rodzaj długiej, białej sutanny. Zabieg jest prosty. Gole ciało okrywa się jak zawojem białą tkaniną 7-metrowej długości. To wszystko. Niczego innego Sudańczyk nie nosi. Garnitury są tam czymś całkowicie nieznanym. Ostatnio uruchomiono krajową fabrykę tekstyliów. W ogóle młode pokolenie Sudańczyków jest prężne, ambitne, chciałoby zdziałać jak największą w jak najkrótszym czasie.

- Już kto jak kto, ale pan spotkał się zapewne z diametralnie różnym poglądem na to, co określamy etyką, moralnością. Są to zresztą pojęcia względne, którym można przydać sens różny. To kwestia nie tylko filozofii, ale też tradycji i wychowania. Ponadto w wielu krajach niedotrzymanie danego słowa jest czymś naturalnym i nikogo nie razi, co znów sprawia mnóstwo kłopotów kupcom europejskim.

- W swej karierze miałem do czynienia z kupcami różnych narodowości. W krajach Afryki utarł się pewien pożyteczny wpływ. W obrębie tekstyliami dominują Hindusi. Handel spożywczy prowadzą Grecy, oni też są często właścicielami dużych domów towarowych. Ormianie i Sryjczycy zmonopolizowali handel artykułami gospodarstwa domowego. Ormianie to nieznajdą Polakom, handluje się z nimi znakomicie. Odnoszę wrażenie, że Ormianie gdziekolwiek ich spotkać, wszędzie żywią wielki szacunek do naszego kraju i darzą nas naprawdę szczerą sympatią. Na wiadomość, że przybysz jest Polakiem hurtownik ormiański z miejsca się rozpozna i staje się zaskakująco

Dalszy ciąg na str. 3

JEWGIENI JEWUSZENKO
Przyczynki do autobiografii

Autobiografia poety — to jego wiersze. Wszystko inne jest tylko przyczynkiem do jego życiorysu. Jeśli ktoś chce szczerze pisać o innych, musi z tą samą szczerością mówić o sobie samym.
Rozdział między życiową, a poetycką osobowością prowadzi wprost do samobójstwa w twórczości. Gdy Artur Rimbaud, został handlarzem niewolników, a jego życie stało się zaprzeczeniem poprzednich ideałów, przestał pisać wiersze.
Poetka jest mściwa kobietą, która nie cierpi fałszu, ani połowicznej prawdy. „Mifczenie jest złotem” stwierdza mądrość przysłowia — milczenie poetów ukazuje jak czyści to blask. I tak niektórzy poeci radzciecy przez długi czas zachowywali milczenie o komplikacjach, sprzecznościach i trudnościach nie tylko własnych, ale i swych współziomków. Nie mówię tu już nawet o czasach, kiedy „my” Proletkultu huczało we wszystkich uszach, gładząc najsłodsze i niepowrotne wzrusze nie jednostki. Poetyckie „Ja” sprowadzało się wtedy do pojęcia czysto umownego i brzmiało po prostu jak „my”. Na przykład „Ja cię kocham” w owym czasie przeobraziło się tak dalece, że znaczyło po prostu „My kochamy”. Według recepty „na lirycznego bohatera” poeta winien być nie samym sobą, lecz symbolem siebie. Nie chce przy tym powiedzieć, że całą poezję radziecką obwiniam o zatrucie poetyckiego „Ja”. Gdy Majakowski mówi

„my”, pozostaje niezmiennie Majakowskim, kiedy Pasternak mówi „ja”, nie ma wątpliwości, że to właśnie „ja” Pasternaka. To co tworzy u prawdziwego poety, odzwierciedla nie tylko czas, w którym żyje, lecz jest objawieniem jego samego, oddychającego, żywego, wzruszonego, wyrażającego siebie.
Urodził się 18 lipca 1933 roku na Syberii w pobliżu jeziora Bajkał. Nazwisko Jewtuszenko jest pochodzenia ukraińskiego. Przy końcu dziewiętnastego wieku mój pradziadek, który był chłopem w guberni Żytomierskiej, uciekł stamtąd, ponieważ rewolucjonizował ludzi przeciwko właścicielowi wsi i podpalił jego dwór. W naszej rodzinie słowo „rewolucja” wymawiało się bez żadnej nutki deklamacji. Wymawiało się je cicho, tkiwie i trochę clercko.
Mój dziadek, półanalfabeta, był jednym z organizatorów powstańczego ruchu chłopskiego na Uralu i wschodniej Syberii.
Moi rodzice mieli charakterystycznie różne. Doprowadziło to wreszcie do tego, że się rozstali. Jednakże nie ze względów politycznych, jak o tym pisał dziennik „Time”. Ojciec i matka poznali się w uniwersyteckim Instytucie geologicznym, gdzie oboje studiowali. Było to w latach dwudziestych. W owym czasie na wyższe uczelnie przyjmowano jedynie dzieci robotników i chłopów, co było naturalną reakcją na stosunki panujące za caratu. Teraz miała zaplanować sprawiedli-

wość. Okazało się jednak już wkrótce, że zbyt gorliwie wprowadzana sprawiedliwość wiodzie do niesprawiedliwości. W języku rosyjskim istnieje na to bardzo dosadne określenie: przegięcie. I tak np. na jednym z zebrań Komsumoiu zarzucono mojemu ojcu, że ulega „wpływowi burżuazyjnym” dlatego tylko, ponieważ nosił krawat... Dopiero niedawno opowiadał mi o tym ojciec, śmiejąc się, kiedyśmy nadaremnie próbował dostać się do restauracji. Pisze „nadaremnie” ponieważ byliśmy bez krawatów.
Wówczas jednak krawat miał nie przeszkodził memu ojcu w przyjaźni z pewną smukłą dziewczyną, moją przyszłą matką, która z racji rewolucyjnych przekonań chodziła wtedy w męskiej czerwoną koszulę i w długich butach. Wkrótce pobrali się.
Matka, która spędziła młodość na Syberii nie była tak ocytana jak ojciec, wiedziała za to czym jest chłopka ziemia i co to znaczy ciężka praca. Przypuszczam, że dlatego już do końca moich dni będę się czuł na pół intelektualistą i na pół wieśniakiem. Wiem, że to pierwssze mnie zaciętnia, podczas gdy drugie chroni mnie przed tym, abym się nie stał snobem.

Dalszy ciąg na str. 6



Ostatnie dni starego i pierwsze nowego roku przebiegały w świecie pod znakiem dużego zainteresowania problemem wietnamskim. Rozmowa stała się przedmiotem zainteresowania w ONZ — Goldberga z papieżem, a następnie apel Pawła VI do 5 krajów, wizyta ambasadora USA w Moskwie — Kohlera u przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR — Podgornego, a przede wszystkim nieoczekiwany przez komentatorów przyjazd do Warszawy ambasadora od zleceń specjalnych, Harrimana — interpretowane są przez prasę zachodnią jako zamierzony ciąg faktów, mających rzekomo świadczyć o „ofensywnym pokojowej” Waszyngtonu.

Obiektom szczególnego zainteresowania były przy tym spotkania Harrimana w Warszawie, i to z kilku powodów: z uwagi na osoby rozmówców, miejsce i czas ich przeprowadzenia.

Polska — podkreśla się — jest nie tylko członkiem Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie, lecz przede wszystkim krajem o wysokiej aktywności na arenie międzynarodowej, a nazwisko ministra Rapańskiego spłótno się nierozdzielnie z ideą odprężenia w świecie.

Zdaniem komentatorów, nie jest też przypadkiem, że Waszyngton reprezentował w tych rozmowach Harrimana, który uchodzi za jednego z najczystszych dyplomatów amerykańskich i któremu zleca się „najdelikatniejsze i najtrudniejsze misje”.

Warszawa ponadto jest jedynym na świecie miejscem kontaktów Stany Zjednoczone — Chiny. To tutaj odbywają się przecież okresowo spotkania ambasadorów USA i ChRL. Wprawdzie kolejne spotkanie wyznaczone zostało dopiero na marzec, jednak komentatorzy nie wykluczali nadzwyczajnych kontaktów.

Wreszcie zainteresowanie budził czas warszawskiej wizyty Harrimana, zbitej z wymienionymi powyżej i nie wymienionymi innymi spotkaniami, tuż po 30-godzinny, świąteczny rozjem w Wietnamie, w okresie, kiedy chwilowo wstrzymano bombardowanie północy i przed zapowiedzianą podróżą członka Prezydium KC KPZR i sekretarza KC — Szelepina do Hanoi.

A więc zarysowanie pomysłowych perspektyw dla rozwiązania konfliktu wietnamskiego?

Z odpowiedzią na to pytanie trzeba być bardzo ostrożnym. Trudno bowiem przewidzieć, czy chodzi tutaj rzeczywiście o pierwszy krok „deeskalacji”, czy może po prostu o „alibi” dla intensyfikacji działań wojennych w Wietnamie.

Niezależnie jednak od tego jaki jest prawdziwy cel ożywiającej działalność administracji Johnsona, jedno wydaje się pewne: niepopularności wojny w Stanach Zjednoczonych, izolowanie USA od sojuszników, niepowodzenia polityczne i militarne — wszystko to zaczyna zmuszać Waszyngton do szukania dróg wyjścia z impasu.

O niekorzystnym wpływie wojny wietnamskiej na całą wspólnotę atlantycką mówił wyraźnie Rusk na grudniowej sesji NATO, wstępując „sprzed” ją również pozostałym 14 partnerom. „New York Times” pisał na ten temat:

„Rusk apelował o większe zrozumienie i poparcie dla Amerykanów, zaangażowanych w Wietnamie i przestrzegających swoich słuchaczy, że los NATO może rozstrzygnąć się w Wietnamie”.

Jest jeszcze jeden aspekt, dla którego być może ostatnich posunięć administracji amerykańskiej nie należy traktować wyłącznie jako kroków propagandowo-taktycznych. Chodzi tutaj o nadchodzące wybory do Kongresu i możliwość w okresie poprzedzającym je zaostreżenia krytyki dotychczasowego kursu politycznego.

Z drugiej jednak strony nie widać zmiany w celach, które stawia sobie Waszyngton w Wietnamie. Na jednym z ostatnich spotkań z dziennikarzami sekretarz stanu — Rusk sformułował 14 punktów amerykańskiej polityki w Wietnamie. Uważa ona, że ich nie daje powodu do sądu o jakiejś modyfikacji dotychczasowego kursu, nie zdaje się stanowić dostatecznej płaszczyzny do podjęcia negocjacji na ten temat.

Mimo to prowadzone są sondże opinia publiczna śledzi z zainteresowaniem, a nawet pewną dozą nadziei.

Podczas gdy uwagę prasy światowej niemal bez reszty zaprzętnął Wietnam, w Hanoi rozpoczęła się 3 konferencja przedstawicieli trzech kontynentów. Biorą w niej udział partie lub organizacje, zajmujące pozycje antyimperialistyczne. Do skomentowania jej przebiegu powrócimy za tydzień, dziś chciałbym tylko podkreślić jej polityczne znaczenie, wagę rozlegającego się stamtąd głosu.

Tak tedy nowy rok rozpoczął się na scenie międzynarodowej dużym ożywieniem. I znów, jak w roku ubiegłym, Polska znalazła się w centrum światowej polityki. Z tej pozycji, wypalczony naszymi pokojowymi intencjami i rozsądnym podejściem do często jakże złożonych problemów międzynarodowych, cieszymy się wszyscy. W roku 1966 będziemy ten swój wkład jeszcze powiększyć, po to, by jak mówił Władysław Gomułka w toaście noworocznej:

„rok 1966 rozproszył chmury wojny, skierował wszystkie państwa i narody na tory pokojowej współpracy i rozwoju, aby nie szczydził zwycięstw w sprawiedliwej walce narodów o prawo stania się gospodarzem we własnym domu”.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

Na apel FWN Wietnamu Południowego w okresie świąt Bożego Narodzenia na przeciąg 30 godzin przerwane zostały działania wojenne. Równocześnie lotnictwo USA zaprzętało swych pirackich rajdów na terytorium DRW. Prasa światowa zastanawia się nad motywami wstrzymania nalotów lotnictwa bombowego na terytorium DRW. Francuska L'Hu manite reprezentuje pogląd, iż „przerwa w rajdach stanowi manewr wojenny dla przygotowania bombardowań zespołu Hanoi-Hajfong”.

Problem wietnamski był jednym z tematów rozmów, jakie wiceprezydent USA Humphrey odbył w czasie swej dalekowschodniej podróży. Obserwatorzy polityczni w Waszyngtonie zastanawiają się w związku z tą podróżą, czy nie była ona nową próbą dyplomatyczną Białego Domu wydobycia się z bagna, w które Stany Zjednoczone pograżyły się na terenie południowoschodniej Azji?

Niemal każdy potrafi tak uszknokować kłamstwo, że będzie wyglądało jak prawda. Ale tak ucharakteryzować prawdę, aby wyglądała jak kłamstwo potrafi tylko aktor lub polityk.
WINIFRED WOLFE
pisarka

Algierski tygodnik „Revolucion Africaine” stwierdza, iż Algieria planuje zwiększenie obrotów handlowych z krajami socjalistycznymi kosztem obrotów z Zachodem. Pismo zaprzecza również informację, jakoby Algieria po obaleniu Ben Belli poszła na prawo. Obalenie Ben Belli „nie oznacza i nie może oznaczać zmiany naszej polityki zagranicznej” — pisze tygodnik.

W wojnie wietnamskiej — pisze chiński dziennik „Zenminjipao” decyduje nie uzbrojenie, lecz ludzie, nie poziom techniki lecz rewolucyjny duch. Odnosi się to zresztą do wszystkich wojen z imperializmem.

Przewodniczący parlamentu zachodniemieckiego Gerstenmeier oświadczył, iż

w obliczu „zastrzeżeń” wysuwanych przez zachodnich aliantów nie należy oczekiwać w 1966 roku możliwości zwolnienia posiedzenia Bundestagu w Berlinie zachodnim.

Najlepszym sposobem na przedłużenie życia jest unikanie jego skrócenia.
ALLAN WHITE
amerykański lekarz

Z dniem 1 stycznia br. ChRL przystąpiła do realizacji trzeciego planu pięcioletniego. Zachodniemiecka DPA wyraża przypuszczenie, iż nowy plan skoncentruje się przede wszystkim na trzech dziedzinach: dalszej rozbudowie przemysłu lekkiego, zwiększeniu produkcji rolnictwa i zwiększeniu produkcji artykułów konsumpcyjnych. Hasło dotyczące nowego planu pięcioletniego „brzmie” „stworzyć podstawy wielkiego mocarstwa przemysłowego Chin”.

W obliczu bankructwa jakie groziło jednej z najbardziej nowoczesnych stoczni brytyjskich utworzone zostało konsorcjum z udziałem rządu, związków zawodowych i prywatnego biznesu, które udzielił stoczni poparcia w wysokości 220 milionów funtów szterlingów. Połowę tej sumy pokryje rząd, pozostałą związek zawodowy i finansjści brytyjscy.



W prawo zwrot, marzec!

Minister do gospodarki w rządzie labourystowskim. Brown, określił to porozumienie jako „nową koncepcję w businessie brytyjskim”.

Świat dyplomatyczny z dużą uwagą śledzi zapowiedź podróży sekretarza KC KPZR Szelepina do Hanoi. Zdaniem AFP zapowiedź Szelepina „stanowi wejście na scenę Związku Radzieckiego w gorączkowej aktywności dyplomatycznej, która cechuje od szeregu tygodni konflikt wietnamski”.

Komisja Akademii Nauk ZSRR oświadczyła, iż członek Akademii, Trofim Lysenko lekceważył metody naukowe podczas prowadzenia badań w kierownictwie przez siebie gospodarstwie eksperymentalnym Gorki Leninowskie.

Od kwietnia br. — zgodny z zapowiedzią Waltera Ulbrichta w NRD obowiązować będzie co dwa tygodnie, pięciodniowy tydzień pracy.

Według opinii amerykańskiej agencji AP wysiłek USA zmierzający do poprawy stosunków z krajami Europy Wschodniej w ramach ogłoszonego rok temu przez Johnsona programu budowania mostów w dziedzinie kulturalnej i wymiany handlowej z europejskimi krajami socjalistycznymi, dały bardzo niska wyniki. Agencja fakt ten zalicza na poczet strat spowodowanych wojną w Wietnamie i uważa, iż nie należy liczyć się z postępowaniem w tej dziedzinie w roku 1966.

„Kambodża odpowie aktem wojny na akt wojny” — głosi rezolucja kambodżańskiego Kongresu Narodowego podjęta w obliczu groźby naruszenia terytorium Kambodży przez wojska sąsiedniego amerykańskiego. ChRL ogłosiła deklarację obiecującą

całkowite poparcie dla wyższej decyzji.

W Zjednoczonej Republice Arabskiej — donosi jeden kairski tygodnik, w budowano już pojazd kosmiczny, przy pomocy której będzie można wynieść na orbitę człowieka. Jeszcze przed końcem br. ZRA zamierza wysłać własnego satelitę.

Na Węgrzech trwają brania partyjne poświęcone omawianiu rozporządzenia zmian cen i plac. Charakterystyczne było — pisze nastrojach w jakich zebraniach odbywały jeden ze stocznych dzienników, że cała dyskusja w sprawie regulacji cen i plac prowadziła się właściwie do przeliczenia wyliczeń. Ogólny ton dyskusji był jednak taki, że d w wielu zabierających głos, i wprowadzeniu rozporządzenia życie stanie się trudniejsze.

„Literaturna Gazieta zamieszcza artykuł słynnego twórcy Teatru Lalek Sergiusza Obraczowa poświęcony problemowi chuligaństwa wśród młodzieży. Nie zawsze mamy rację — pisze autor — zwalając całą winę na „przeżytki ponurej przeszłości”. Cóż to za przeżytki skoro nie tylko jego reprezentant, ale nawet rodzice chuligana nie widzieli na oczach cara, ani kupiectwa.

Prezydent Broz Ti oświadczył na spotkaniu z aktywem gospodarczym, reformy ekonomiczne wprowadzane w Jugosławii mają charakter rewolucyjny i przyjęte zostały „na pięć przedawnu”. Prezydent stwierdził również, iż w ciągu ubiegłych 11 miesięcy Jugosławia udało się zmniejszyć deficyt płatniczy w obrocie z zagranicą z 220 milionów dolarów w skali rocznej do 36 milionów. W ciągu najbliższych dwóch miesięcy deficyt zostanie zlikwidowany.

Wszystko co wielkie na tym świecie ma gorzki posmak.
FRANCOIS MAURIAC
pisarz

znajduje się wzmianka „Bogu”. „New York Herald Tribune” przypuszcza, iż sąd zabronił odmawiania modlitwy ponieważ przeciwko temu mogliby zaprotestować rodzice-ateiści.

„Akcja biskupów w duchu rewizjonizmu” — pod takim tytułem organ SED „Neues Deutschland” publikuje artykuł poświęcony znanemu orędowni biskupów polskich i odpowiedzi na ni episkopatu niemieckiego. Wymownie listów zdumiewający fakt — pisze dziennik — obaj partnerzy zachowują się tak, jak gdyby nie istniał w ogóle NRD. Czyżby biskupowi aż do tego stopnia skierowali wzrok ku sprawom tamtego świata, że nie potrafili na ziemi rozróżnić już większych konturów? Czyżby nie (...). Zainicjowana w Rzymie akcja polityczna biskupów katolickich tkw korzeniami w agresywnym polityce odwetu uprawiane przez rząd berliński. Tłumaczy to również udzielenie bez zastrzeżeń poparcia wymian listów przez reakcyjne koła zachodnich Niemiec.

DO KOGO TA MOWA?

Niektóre tematy występują na łamach naszej prasy zupełnie jak tramwaje. Parami, kupa, stadami. Ostatnio modna jest analiza postaw życiowych młodzieży. Oczywiście, są to bardzo złe postawy, no bo jakby były dobre, toby gazety o tym nie wspomniały ani słowem.

Łódzki „Express Ilustrowany” zwraca uwagę na takie zjawisko: oto Towarzystwo Przyjaciół Dziecka, Związek Harcerstwa Polskiego i Kuratorium niezwykłe starannie przygotowały plan opieki nad młodzieżą podczas ferii świątecznych, a młodzież wcale z tej opieki nie chce korzystać, świetlice czekają, wychowawcy czekają, a młodzież waleśa się gromadami po mieście, pełno jej przed kinami, nie garnie się wcale do sal gimnastycznych, nie chce kierowanych zajęć, zabaw, rozrywek świetlicowych. Dlaczego? Dziennikarz „Expressu” odpowiada nie bez racji: „widocznie zajęcia i zabawy w dyszurujących placówkach są dla młodzieży zbyt mało atrakcyjne”. Słusznie, młodzież zna zajęcia znacznie bardziej atrakcyjne, zwłaszcza podczas świąt i ferii.

Ośrodek Badań Społecznych Komitetu Przeciwalcoholowego opublikował niedawno wyniki badań nad alkoholizmem młodzieży szkolnej. Wcale reprezentatywna próbka obejmowała młodzież różnych szkół w wieku 11—18 lat. Okazało się w rezultacie, że 73 procent chłopców pije piwo, krąg budki z pivem znacznie się rozszerza, kadry rosna. Wino, ów nieśmiertelny „Czar pegeer”, zna dobrze 70 procent badanych chłopców, a pije ów boski napój za dwadzieścia złotych w brnach pozabawionych dozorców, w parkach rzadko kiedy kontrolowanych i dworcach kolejowych, gdzie tego rodzaju konsumpcja cieszy się ogólnym uznaniem. 32 procent młodocianych pije wódkę, lecz czyni to na ogół w warunkach dobrych, a więc w ciepłych pomieszczeniach, w domach po prostu, najczęściej pod okiem dorosłych. 50 procent badanych uczniów oświadczyło zgodnie, że popija sobie w dogodnym towarzystwie własnych rodziców, lub co najmniej dorosłych.

Jak więc z tego widać rola dorosłych w kształtowaniu postaw życiowych młodzieży nie jest znowu taka mała. Rodzice i inni starsi nie powinni narzekać, że stracili wpływ na młodzież, narzekać może co najwyżej wychowawca z kręgu szkoły, doremnie oczekujący przed drzwiami świetlicy na podopiecznych. No, ale on sam sobie winien. Czemu nie prosi do stołu?

Obok rodziców wyblja się na czoło grupa specjalistów różnej maści, u których młodzież odby-

wa konieczne praktyki. Wyniki badań są pod tym względem jednoznaczne. Na pierwszym miejscu, jeżeli chodzi o spożycie alkoholu, stoją zasadnicze szkoły zawodowe, na drugim — technika. Specjaliści to są dobrzy ludzie, najpierw posyłają praktykanta po wódkę, szybko jednak zapraszają na kielicha, przeciw kielich i tak chłopaka nie ominię, po co ma pić byle gdzie, kiedy może pod opieką dobrych fachowców z macierzystego zakładu, nie?

Proszę zwrócić uwagę na fakt, że w liceach ogólnokształcących, gdzie nie ma takiego kultu techniki i specjalistów, młodzież pije znacznie mniej, więcej do powiedzenia ma nauczyciel i wychowawca niż specjalista od cienkiego skrawania charakterów. Stołeczna Komenda Milicji Obywatelskiej powiadomiła ostatnio społeczeństwo, że na 400 skradzionych w ciągu roku samochodów na terenie Warszawy — 393 odnaleziono wraz ze złodziejami, których było znacznie więcej. Przeważnie młodocianych i przeważnie praktykujących u specjalistów, którzy — rzeczywiście — potrafili zapalić młodzież do techniki.

Czy w naszej prasie nie podaje się dróg wyjścia z sytuacji? Owszem, jeszcze ile! Sprawa nie polega jednak na braku recept, lecz braku ich realizacji. Już nawet nie setki tysięcy, ale miliony młodzieży uczę się w szkołach zawodowych, gdzie obok nauczyciela występują specjaliści, zakłady pracy itp. Hejż wyłano atramentu, ile napisano o potrzebie podniesienia rangi wychowania w tego typu szkołach? Ilu doświadczonych pedagogów i publicystów mówiło i mówi, że tam gdzie dzieje się niedobrze z młodzieżą — najwyższy czas zabrać się do starszych.

Mistrz igły, znany krawiec Jan Gogolewski z Warszawy, powiedział ostatnio na łamach „Standardu Młodych” na temat chuligaństwa: „równie ważna jest postawa przechodniów. Jeśli chuligan wie, że jego ofiarze nikt nie przyjdzie z pomocą, to czuje się bezpiecznie. A u nas, niestety, coraz mniej odważnych i gdy łobuz się awanturuje, to inni milkną i wola się wycofać”.

Święte słowa, tylko do kogo ta mowa?

Wienbajarskiydy

Miasto niekochane?...

„Ogłosy” redagują: Przeses Towarzystwa Przyjaciół Łodzi - Euge niuszem Ajnenkiel.

szkolach, współdziałanie z plastykami, a ostatnio z Filharmoni. Stąd wreszcie cały szereg inicjatyw, do których albo się włączamy, albo sami bezpośrednio je podejmujemy.

ka intelektualnej, a przede wszystkim uniwersyteckiej gar nią się do Towarzystwa Przyjaciół Łodzi?

PREZES TPE E. AJNENKIEL:

Do tej pory Towarzystwo nasze współpracuje b. blisko z plastykami, efekty tej współpracy dla miasta już istnieją. Rozpoczęliśmy współpracę z literatami, trochę to nam idzie „jak po grudzie”, ale mamy wielkie nadzieje. Rozwinięliśmy współpracę z środowiskiem teatralnym Łodzi. Tu mamy do zanotowania sporo efektów. Trudniej ze środowiskiem naukowym. Czekamy, że znajdzie się wśród naukowców młody entuzjasta Łodzi i zacznie skupiać wokół siebie nowy narządek. Miałoby to dla Łodzi olbrzymie znaczenie i zapoczątkowałoby nowe formy współpracy środowisk, bowiem, jeśli chodzi o ludzi, którzy przywykli już do dotychczasowego zdeintegrowanego życia środowisk łódzkich, wyrwanie się z tego stanu jest bardzo trudne.

ODGŁOSY:

A jak Towarzystwo Przyjaciół Łodzi wyobraża sobie REGIONALNEGO PATRIOTE ŁÓDZKIEGO? Jak pan widzi sylwetkę takiego działacza?

PREZES TPE E. AJNENKIEL:

Czy pan chce hasła encyklopedycznego? Niełatwo to zdefiniować. Jako łódzianin rdzenny, tutaj urodzony, cóż mogę na ten temat powiedzieć? Pamiętam Łódź jeszcze taką, w której brodziłem w kolorowych rysunkach farb, Łódź „bajecznie kolorowa” nad rzeką Łódka, wówczas jeszcze nie pokryta. To był istotnie wschodni targ. Widziałem Łódź, z drownianą kostką na małym odcinku ulicy Piotrkowskiej. Widziałem te ostawione straszne domy, które były budowane tylko i wyłącznie po to, żeby eksploatować i wyciskać z proletariatu pieniądze. Pamiętam jaką walkę toczyła Łódź, zawsze w czołowej klasowych bitew. Proszę się więc nie dziwić, że moje uczucie dla tego miasta jest zaborcze. Czasem łapię się na tym, że mnie ono aż zaslepiła. Sądzę, że tak kocha się matkę, która miała ciężkie życie. Tym mocniej odczuwam awans tego miasta. I chyba odczuwają go wszyscy jego mieszkańcy. Więc i ten łódzianin, który tu osiadł, bo los go tu zagnał. Bywa zazwyczaj tak, że najpierw myśli on tylko o tym, jakby się utrzymać, ubrać, zamieszkać, potem zaczyna się do miasta lubić bo nas przygarbno. Czasem wynika z tego miłość. A dzieci zaczynają to miasto rozumieć i muszą je kochać, bo to jest już ich rodzinne miasto.

ODGŁOSY:

Więc jest Pan Prezes przekonany, że Łódź jest miastem które można kochać. Ale miłość kojarzy się nam zazwyczaj z urodą...

PREZES TPE E. AJNENKIEL:

Oczywiście, krakowiarin ko cha swoje miasto za jego mury zabytkowe. Podobnie — choć w nieco już innym sensie — warszawianin. I Łódź ma swoje zabytki — dość zresztą skromne i jeszcze do niedawna przez znawców sztuki nie uznawane. W Łodzi jest przecież najpiękniejsza w Polsce secesja. Ale, jeśli już o tym mowa o „urodzie miasta” i o tym, że miłość kojarzy się właśnie z urodą, to przypomnijmy, że miłość mogą wzbudzić i zalety wewnętrzne, a przecież Łódź ma najpiękniejsze proletariackie tradycje w Polsce. Czyż tego nie dosyć, by darzyć takie heroiczne miasto miłością?

Na dalekich lądach

tes najwyższej klasy. Inna sprawa, że trzeba wiedzieć jak ją przyrzadzić.

— Czy zetknął się pan w Syrii również z Polakami?

— Zważyło się na mnie tyle spraw, że po prostu nie miałem wolnej chwili na rozmowy z rodakami. Nie dopotywałem się o Polaków. Natomiast w Sudanie mieszka kilka polskich rodzin urzędniczych. Przebywa tam poza tym grupa polskich pilotów posiadających obywatelstwo brytyjskie. Ci piloci obsługują linie pasażerskie. Wypytują o wszystko. Są niezmiernie ciekawi kraju. Chcą wiedzieć najdrobniejsze szczegóły o życiu w Polsce i słuchają wszystkiego z największym przejęciem. Jeden z takich „angielskich” Polaków buduje teraz w Sudanie wodociąg. Drugi, pan Barański jest ekonomicznym doradcą rządu. Trzeci, pan Kryński dokonuje drobiazgowych pomiarów kartograficznych całego kraju. Jeśli się nie mylę, czyni to na wyraźne zlecenie UNESCO. Ale najbardziej znanym znanca Sudanu jest według mnie pan Kronenberg.

— Czyżby chodziło o potomka znanej warszawskiej rodziny, która przez długi czas działała na polu finansowym?

— To właśnie ta rodzina. Pan Kronenberg mieszka obecnie w Wiedniu. W Sudanie przebywa z żoną dla przeprowadzenia szerokich badań nad kulturą i sztuką plemion sudańskich. Jest z wykształcenia etnografem i często wyjeżdża do najdalszych zakątków kraju i wtedy przez 7 miesięcy jest zupełnie odcięty od świata. Świetnie mówi po polsku. Uczy też po polsku swoją małąkę córeczkę.

— Sudan i Chartum kojarzą się nie tylko z Mahdum, owym prorokiem zesłanym zaniem Muzulmanów na ziemię przez Allacha. Kojarzą się też z kokosem, palmą, bananem, przede wszystkim z upałami. Przecież to państwo jest jakby wzięte w kiesze Sahary i równika. Czy Europejczyk może przywyknąć do tamtejszego klimatu? Czy Polacy, synowie Północy, znają dobrze afrykańskie słońce? Czy tam dlatęgo, że młodzi aż się palą do Afryki, nie wiedząc co ich tam czeka.

— Wiele zależy od zdrowia, predyspozycji, struktury fizycznej i kondycji. Pulehny tłuszczoch niechaj raczej wystrzega się Afryki. Nie ma tam żadnych szans przetrwania. Będzie się pocil w sposób nieludzki, bez przerwy i nie na to nie poradzi. Nieraz widziałem jak się tam męczą ludzie opasli.

— A jak pan sobie radzi?

— Jestem z natury chudy, więc nie miałem tych kłopotów, w każdym razie były one mniejsze.

— Nie pocili się pan?

— Takich cudów nie ma. Tam pocili się każdy. Z potem, jak wszyscy moi koledzy, walczyłem nieustannie. To walka wyczerpująca, przy tym osłabia, deprymuje. Zar leje się istniejące strugami z jasnego nieba. Każdy ma jakąś metodę, ja bronillem się solą.

— Solą?

— Tak. Piłem nie zimne lemoniady ale wyłącznie płyny o dużej zawartości soli. Coś w rodzaju solanek. Dodawałem też bardzo dużo soli do każdej potrawy. Pomaga. Sól wiąże przecież wodę powstrzymując tym samym pocenie się. Tak do tego przywykłem, że i teraz wcale niczego nie kosztując machinalnie dosypuję sól do każdej potrawy. W ogóle sól jest najważniejsza w Afryce. Bez niej trudno by tam było wytrzymać nawet parę miesięcy.

ROZMAWIAŁ: JAN BABIŃSKI

ODGŁOSY:

Panie przesies, na przestrzeni dziesiątków lat, starło się mniemanie, że Łódź jest „miastem niekochanym”. Ze Łódź jest niejako poczekalnją kłószw — tu przychodzi się, tu się robi majątek, tu się odbywa kwalifikacje zawodowe — a potem idzie się w świat. Jaki jest stosunek Towarzystwa Przyjaciół Łodzi do tego stanu rzeczy — czy może tylko do takiej krzywdzącej opinii.

PREZES TPE E. AJNENKIEL:

Istotnie, Łódź, jak powiedział Reymont, była Ziemia Obiecaną. Zawsze, dla wszystkich — i to zarówno dla tych, którzy tworzyli tu przemysł jak i tych, którzy reprezentowali władzę. Prawdą jest, że w Łodzi chciano robić i robiono majątki. Łódź nie tworzono jako umiłowanego miasta dla człowieka, tylko jako miasto dla jego eksploatacji. To wszystko spowodowało, że Łódź miała strukturę niemal kolonialną. Dotyczy to i Rosji i Niemiec w czasie okupacji, dotyczy to i rządów Rzeczypospolitej międzywojennej. Trochę spadło, prawem dziedzictwa i na nasz okres.

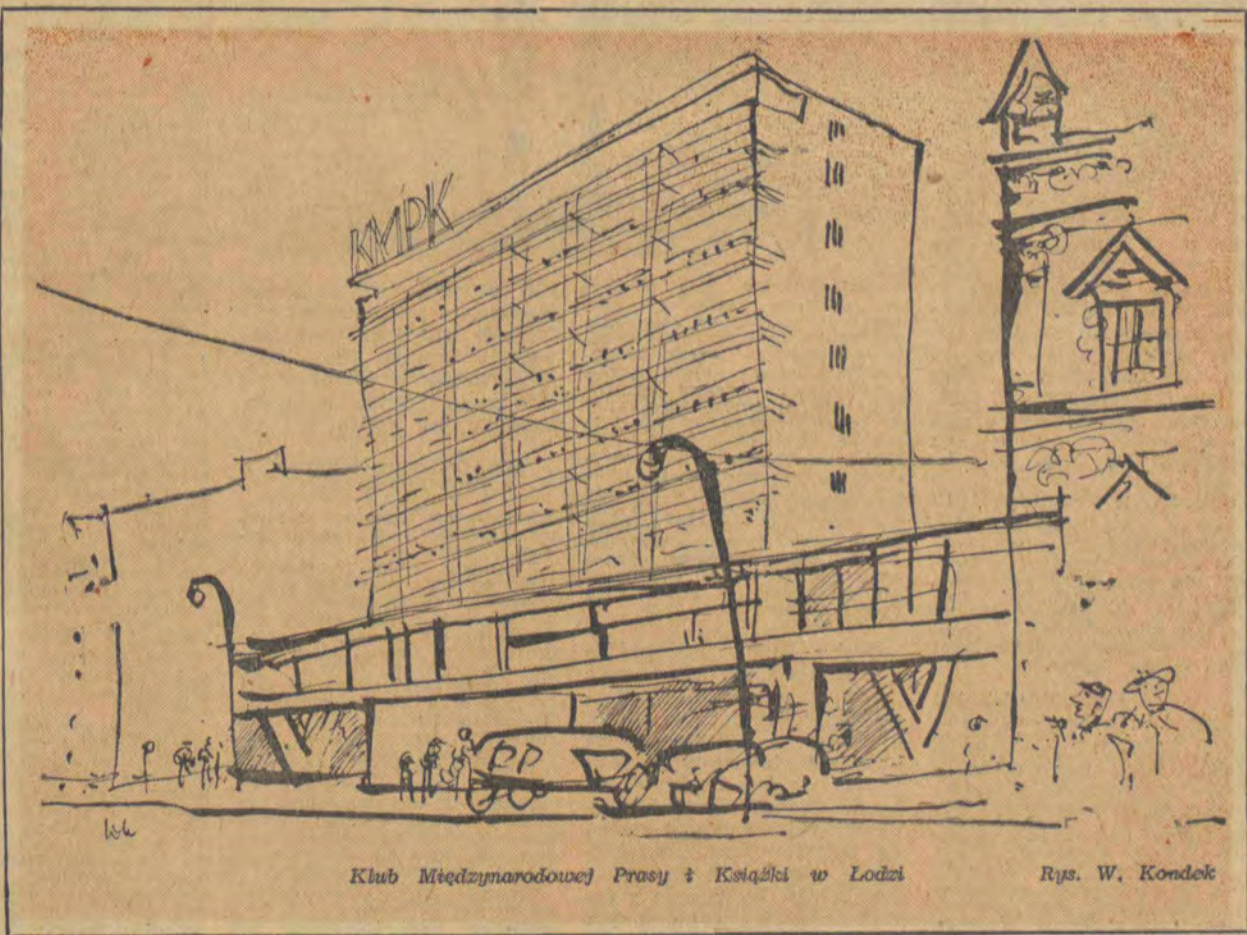
A przecież Łódź zasługuje na miłość. Na to, żeby zmieścić ten krzywdzący do niej stosunek trzeba było zacząć krzyczeć, że to miasto jest warte naszych dobrych uczuć, że ma swoje miejsce w Rzeczypospolitej. Takie zadanie postawiło sobie Towarzystwo Przyjaciół Łodzi.

ODGŁOSY:

A jak Towarzystwo Przyjaciół Łodzi spełnia te zadania?

PREZES TPE E. AJNENKIEL:

Nasze Towarzystwo ma w pierwszym rzędzie zadanie krzewienia miłości do Łodzi. Tym założeniem określa się cały szereg form pracy. W pierwszym rzędzie chcemy pobudzać innych do pracy dla dobra miasta, chcemy inicjować, nie przywiązując szczególnej wagi do tego czy późniejszy zaszczyt spadnie na nasze barki czy nie. Stąd nasze inicjatywy wydawnicze, mimo że istnieje Wydawnictwo Łódzkie. Nasza uwaga dla spraw teatrów, mimo że istnieje Towarzystwo Turystyczne — Krajoznawcze. Stąd nasza praca w



Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi

Rys. W. Kondek

JAKIE PIĘKNE TARGO WISKO

Jeszcze przed wojną — na placu tym brylował pewien zmyślny żebrak — kuternoga. Wyludzał pieniądze przy akompaniowaniu monotonna śpiewów i bardzo pobożnej modlitwy, a wieczorami przepijał swe dniówki w okolicznych knajpach i spelunkach.

Nie myślicie jednak, że Jan Kulawy (tak żebraka przezywano) pił wyłącznie za monetę uzebraną. Ho, ho... spryciarz z niego był niechluj; podpatrywał kieszenie przechodzących gości i kompanom, którzy stali za jego plecami — dawał znaki... Usta koczmarne staruszka szeptały w rytm modlitwy: „w lewej kiedzie piter mo, zróbta go, zróbta go”, i za człowiekiem, co przed chwilą złożył mu jałmużnę, ruszały jakieś cienie w zamiarach niepoczciwych.

Łosy Jana Kulawego dopelnili się ponoć w latach okupacji, ale pamięć o nim przetrwała. Zresztą... dziś przywodzi go na myśl inny żebrak, usytuowany pod frontową ścianą dawnej hali Geyera; też podobno spryciarz niesłychany. Stara, przedwojenna, rzecz by można — emerytowana recydywa z Chojen, wygrzewająca w jesiennym słońcu sterane kości — ma z niego uciechy co niemiara. Umie modlić się przepięknie i, jednocześnie, kłać soczyście — na ciężkie czasy lub skąpstwo przechodniów; umie także wymyślić na poczekaniu wzruszającą bajkę o swoim nieszczęściu, i konia z rzędem temu, co się na to nie złapie.

W ogóle stwierdzić trzeba, że w Hali Targowej przy Piotrkowskiej 317 oraz na przyległym do niej targowisku, cwaniactwo krzewi się obficie... Nie tyle przestępstwo, co właśnie cwaniactwo, i nie dziwicie się temu; wiadomo, jak świat światem, jak ziemia długa i szeroka, targi, jarmarki, rynek wszelaki a nawet kościelne odpusty — zawsze były przytulkiem dla spryciarzy, zawsze każde takie miejsce miało dwa oblicza — jedno na pokaz — legalne, otwarte, drugie — ciemne i starannie ukryte.

Przypominam sobie reportaż pewnego warszawskiego dziennikarza. Pisał, że targowiska z Pragi przewidywały folklorem i barwnością obyczajów bazy kairskie, greckie i tureckie, a nawet opisywane przez Egonę Erwinę Kischę „wszawe targi” w Bietre oraz „pehle targi” w Saint-Quen; być może, być może. W każdym razie obraz stworzony przez owego dziennikarza z Warszawy był tak sugestywny, że uwierzyłem mu bez reszty i gotów byłbym zapłakać nad szaryzną targów w naszej Łodzi. Ale teraz zmienilem zdanie. Nasze targowiska też się liczą. Też są ciekawe. Nawet nie wiecie, jak bardzo. Mają swój odrębny klimat, specyficzną scenografię, integralny język i bogatą tradycję. I choć ich drugiego, ukrytego, nielegalnego oblicza nie można porównać z obliczem targowisk warszawskich — do brzo to zresztą świadczy o naszej milicji — to pierwsze oblicze może stać w zawody z każdym rynkiem czy jarmarkiem na świecie.

2.

Hala Targowa przy Piotrkowskiej 317 powstała z inicjatywy Towarzystwa Przemysłowo-Budowlanego „Sano” na placu firmy; Ludwik Geyer — Spółka Akcyjna. Ambicją panów z Towarzystwa „Sano” była maksymalna eksploatacja wydzierżawionych u Geyera terenów, toteż już w 1937 roku postanowili zbudować nową halę żywnościową, która biec miała równoległe z istniejącym dzisiaj zabudowaniem, wzdłuż ulicy Białej. Ach, czegoż tam nie zaprojektowano — baseny rybne, liczne piwnice, ogniotrwałe kramy, iluminację świetlną, krużganki, hale i podcienia. Wspaniały ten plan spełnił na le i podcienia. Wspaniały ten plan spełnił na le i podcienia. Wspaniały ten plan spełnił na le i podcienia. Wspaniały ten plan spełnił na le i podcienia.

resy”. Jednym z nich był Maksymilian P., właściciel niewielkiej herbaciarni rynkowej, Zarząd Miejski pragnąc iść na rękę Towarzystwu „Sano” i zaszczytnym perspektywom rozwoju targowiska — wezwał pana Maksymiliana do natychmiastowej likwidacji wspomnianego lokalu, ten jednak bronił się rozpaczliwie, za co władze miejskie postanowiły go ukarać kwotą złotych stu. Dziś — kiedy król pietruszki, Ignacy Wołek, wyrzeka ile wlezie na niedobre czasy (Przed wojną, panie młody, nikt się do cieszka nie przycepił, żaden mundur ani higienista; handlowali ludzie czym popadło — pieniądze byli i mandatami za niechlujność nie karano...) przypominam sobie epilog sprawy Maksymiliana P. Jak wynika z protokołu — krnąbrny ów człowiek, żywił czterosemrodziny, zarabiał miesięcznie około 60 złotych, z czego 45 wydawał na komorne. Szczegółowe wywiady wykazały, iż wyegzekwowanie stu złotych od przestępcy jest niemożliwością; w konkluzji raportu, poborca skarbowy zaopiniował: „Płatnik po wyjściu z więzienia z ledwością zarabia na utrzymanie i nie sposób odliczyć mu kosztów za leczenie” (w więzieniu zachorował).

Tak to, dzięki oporom Maksymiliana P., straganiarki Rozalii S. i innych użytkowników placu Ludwika Geyera, projektowana hala żywnościowa, z braku miejsca i czasu — bowiem niedługo wybuchnąć miała wojna — na zawsze pozostała projektem, wraz z basenami rybnymi i ogniotrwałymi kramami. To co zostało jako wspomnienie po towarzystwie „Sano” i skompromitowanej podczas wojny rodzinie Geyerów, oglądać dziś możemy przejeżdżając przez plac Niepodległości: długa, niewysoka konstrukcja, do krytej pływalni podobna, lub do lodowiska — sąsiaduje bok w bok z przyjezdnymi cyrkami; tyły jej zajmują niewidoczne od Piotrkowskiej targowisko, zaś od frontu siedzi właśnie wspomniany żebrak z czapką na kolanach i sprytem w męcznych żrenicach; on to zwiastuje ci rozkosze wnętrza i tajemnicze zakrytego rynku.

3.

W hali królują sprzedawcy mięsa, owoców oraz handlarzy nabiałem. Natomiast w przedsiódkach — ciemnych i wilgotnych — atmosfera jest raczej odpustowa; znaleźć tu możesz wszelką tandetę — od pierścionków z rubinowym oczkiem, poprzez gwiazdę szeryfa — do oślizłych pijawek pluskających leniwie w mętnej wodzie. Wszystko to kontrastuje z wnętrzami sklepów pasmanteryjnych, papierniczych, z wystawami składów meblarskich i ekspozycjami galanterii skórzaney, bowiem w zewnętrznych i wewnętrznych ścianach hali jest ich co niemiara. Przypadkowo zablakany tu obywatel nie może wyjść z podziwu nad różnorodnością artykułów, a tym bardziej nad dziwnym spłotem producentów. Przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze, prywatne, „ręczniaki”, szarlatany, badylarze, domokrądcy, zacietrzewieni Cyganie, rozkrzyżani wynalazcy trutki na szczury i maści na żyłki — walczą tu oko w oko, ramię w ramię, a że konkurencja jest silna — ząb za ząb. To co w sklepie państwowym dostać można za dwadzieścia złotych, u prywatniarza kosztuje trzydzieści, ale ceny państwowe są sztywne, zmienić ich nie sposób, zaś że sprzedawca prywatnym potargować się wypada; ludziska kochają te rzeczy w myśl przysłowia: kupi nie kupi... toteż — mimo wyśrubowanych cen masła, sery, miód, pietruszka, jaja i wreszcie mięso z prywatnych ubojów (dobrze, że z legalnych; stałe kontrole i troskliwy nadzór MO już dwa lata temu zamknęły rozdział drobnych, mięsnych aferek; nadużyć pod tym względem już się nie notuje) znikają ze stoisk. Znak to wyraźny, iż hala lata dziurki w handlu uspołecznionym.

Lata, lata. Nie zawsze wprawdzie legalnie. Ale paskarstwo i spekulacja dzisiaj nie poptaca. Kupić owoce od chłopca i sprzedać z odpowiednim zyskiem może tylko cudotwórca: jak nie wpadnie w oko nadzorców targu, to go zniszczy legalna konkurencja, a gdy znajdzie się w ramionach milicjanta — wtedy klops. Niewiele większe szanse powodzenia posiada spekulacja na towarach wykupionych ze sklepów i przeznaczonych do sprzedaży „z drugiej ręki”. Czasami uda się jeszcze zarobić na cytrynach, które łatwo schować w kieszeń i upłynić gdzieś na boku, ale z konfekcją wychodzi to bardzo rzadko i większość podobnych przedsięwzięć znajduje swój finał przed sądem. Wziąwszy pod uwagę wzmogłą czujność inspektora higieny — stalego gościa targowiska, sprawdzającego nie tylko stan sanitarny bazaru, ale także zawartość tłuszczu w mleku, serach, twarogach, itp. — zawę-

żamy ciemne, nielegalne oblicze łódzkiej hali do wielkości bazi dziecięcej — na pozor niewinnej, ale umiętniętej cwaniacko.

4.

Filuternie owa bazi mruży oko. Zupełnie jak sprzedawca noży do cięcia szkła, otoczony pierścieniem ciekawych.

— Każdy może być szklarzem — bełkoce ten pan. Bełkować bardzo niewyraźnie, sapie, tchu mu brak, lecz owo kalektwo wymowy zwabił ludzi tym bardziej. Ludzie takie „głupi” lubią, szanują takie efekty, więc czochają z nożami, tnąc sprawnie szkło w estetyczny, może dalej bełkotać bez przeszkód. — Nie potrzeba nam fachowca, okna, lustera, tudzież oprawy do obrazów robimy sami. Szkło należy naciąć równo i przetrzymać u końca. Proszę uprzejmie, pan spróbuj, dziesięć złotych sztuka, nauka jest bezpłatna i trwa pół minuty, aparat jest dwustronny i załatwi sześćset metrów najgrubszego, kredensowego szkła. Sąsiadowi nie pożyczaj, niech kupi. Rzecz jest godna nabycia, z licznymi stron kraju naszego płyną serdeczne podziękowania...

Albo ta pani z foremkami do ciasteczek: — Z dwóch jajek i szklanki mąki, z beły jakiego tłuszczu, robimy, drogie panie, sto pięćdziesiąt takich faworków. W każdym domu rzecz to jest niezbędna, a w szczególności tam, gdzie są dzieci. Faworki można dodatkowo posypać cukrem w pudrze lub nadziać konfiturami. Jedna sztuka, w drodze reklamy, kosztuje dziesięć złotych.

Albo ten pan z wieszakami: — Na wieszaku takim, wieszamy bez trudu całą kolekcję sukienek i spódniczek. Wieszak jest mocny, bowiem nie ze sztucznego tworzywa, a z drutu (następuje potężne uderzenie wieszakiem o kant straganu), kłóten pomalowany jest farbą nitro. Oczka w nim można zmniejszać, przez co

pasuje do każdej wlekości. Elegancka dama powinna to kupić. Koniec, drogie panie, z prasowaniem! Na wieszaku takim... itd...

Albo ten chłopak z krawatami w przemyślnie wzory, na gumkę: — Rzecz praktyczna, dziesięć złotych sztuka.

Albo ten mężczyzna z pastą na żyłki... Oj, ludzie, ludzie. Tłoczą się, krzyczą, rozpychają zafascynowani cudownym wynalazkiem, oczy mają nieprzytomne i chciwe. Tymczasem główni aktorzy zbierają pieniądze, cudne brzękliwe pieniążki za ludzką naiwność.

Nie wiem, może te noże do cięcia szkła są i dobre, jednak kupować je powinni tylko pesymiści przewidujący, że im chuligańscy zbombardują kamieniami okna... Jeśli chodzi o foremki, obliczyłem, że wyprodukowanie kilkudziesięciu ciasteczek z dwu jaj, szklanki mąki i „beły” jakiego tłuszczu — zajmie około dwu godzin drogowego czasu każdej gospodyni. Rzecz oczywiście, nierentowna... Co do krawatów — komentarze zbyteczne, są gusty, i guściki na gumkę... Natomiast ciekawa propozycja wydają się wieszaki (choć zaczynają funkcjonować dopiero wówczas, gdy do sukien i spódniczek doszyjemy specjalne pętelki-uchwyty)...

Ludzie nabywają wszelkie cuda w tempie zawrotnym, przekonani głęboko, że zrewolucjonizują w ten sposób wnętrza swych domostw. Zresztą, plac także za walor widokowy imprezy; gdzie to porównać z monotonią śródmiejskich sklepów, z wyniosłym milczeniem ekspedientek... Nie ulega wątpliwości, że każdy z jarmarcznych handlarzy „wynalazkami” byłby wspaniałym sprzedawcą w komisie czy w spółdzielni, i że podwoiłby obroty tych placówek. Ale handlarz „wynalazkami” kocha pracę na świeżym powietrzu, kocha specyficzną atmosferę łódzkiej hali i nie odciągniesz go stąd za żadne skarby świata.



Od redakcji

Zauważyłeś chyba, Czytelniku, iż „Odgłosy” zaczęły dzwiewiąt rok życia? Dzwiewięć lat! W epoce zmasowanych jubileuszów i hucznych rocznicowych obchodów — dzwiewięćlecie niezbyt nawet zasługuje na wzmiankę. To tyle, co skromne rodzinne święto. Więc obejdzie się bez toastów i przemówień, bez gali i bez funduszu reprezentacyjnego. Ale nie może obejść się bez ukradkowego chociaż spojrzenia wstecz, bo to jednak już dzwiewięć lat! I nie obejdzie się bez chwili medytacji nad losami przyszlizmi i przeszłymi naszymi DZIEWIĘCIOLATKA. Jak nam się on w tym czasie rozwiniął? Czy jest taki, jakim chcielibyśmy go widzieć? Jaki mu już przypadł los w udziałach, co pozwala nam wie-

zresztą, że dzieje się to w mieście o najniższych (przykro nawet wspominać) w Polsce wskaźnikach czytelniczych, w mieście, które nie ma tradycji i nawyków współżycia z piśmie tygodniowym (cały bez mała nakład „Odgłosów” rochochdzi się z kiosków, w wolnej sprzedaży, bo prenumerata jest w Łodzi zjawiskiem wyjątkowym i nletradycyjnym. A w innych miastach tygodniki mają prenumeratę sięgającą aż 70 proc., co w oczywisty sposób stabilizuje ich sytuację). Wreszcie nie zapominajmy i o tym, że „Odgłosy” wychodzą w mieście kształtującym dopiero swoje oblicze kulturalne, w mieście odrabiającym dawne zaniechania i wciąż jeszcze dotkniętym, pewną dezintegracją środowisk inteligentnych i twórczych. A mimo to, — o paradoksie! — „Odgłosy” spośród społeczno-kulturalnych tygodników regionalnych, osiągają najwyższe na-

klady, co pozwala nam wie-rzyć w Twa, Czytelniku, sympatię. Prawda?

Inna sprawa, że naczytamy się w Twoich listach, o, naczycyamy, gorzkich uwag. Irytuje Cię zmniejszona objętość pisma. Stwierdziwszy, iż wynika ona z powszechnie znanej sytuacji na rynku wydawniczym i z deficytu papieru, dodajmy od siebie, że dla redakcji jest to prawdziwa zmora, bo to i niełatwo wyważać propozycje każdego numeru, dysponując zmniejszoną objętością, ledwie dziesięciu kolumnami, i trudno pomieścić na nich cały przeznaczony do druku materiał. Stąd bierze się i zbyt mała ilość ilustracji, stąd drobna czełonka, na którą tak narzekają co starsi czytelnicy, stąd i chroniczna niemożność uwzględnienia wszystkich postulatów czytelniczych.

A jest ich wiele i radziłyśmy je wszystkie spełnić. I tak na przykład uważamy, podobnie jak nasi czytelnicy,

za paradoks, iż „Odgłosy” wyposażono właśnie w tak skromną szatę graficzną, mimo, iż ukazują się one w mieście, będącym siedzibą wielu wytwórni filmowych, Wyższej Szkoły Filmowej i Wyższej Szkoły Plastycznej, i aktywnych związków twórczych. Właśnie więc w Łodzi można wydawać pismo bogate nowoczesnie i artystycznie ilustrowane, i właśnie Łódź, jako jedne w Polsce większe miasto — w ogóle nie wydaje czasopisma ilustrowanego, bo trudno przecież nadać takie miano naszemu tygodnikowi, tak ubożuchnemu, jeśli idzie o szatę graficzną. Ale tu znów stoimy wobec niemożności, jako że szata graficzna „Odgłosów” jest wynikiem nieodrobionych jeszcze dawnych zaniedbań i zaoferania łódzkiego parku poligraficznego. Przyszłość ma przynieść poprawę, ale na razie drukujemy się w warunkach archaicznych i prymitywnych. Tym przyjemniej stwierdzic,

że w roku 1965 właśnie „Odgłosy” — o kolejny paradoksie! wyróżnione zostały (chwala łódzkim drukarzem!) przez Prezydium Zarządu Głównego ZZPP we współzawodnictwie o najlepsze wykonane prace w poligrafii. Bardzo to redakcję ucieszyło, bo w naszej odciennej pracy jesteśmy skłonni do ostrych form samokrytycyzmu. A tu taka miła niespodzianka!

Więc może nie jest aż tak źle? Dzwiewięć lat — dla łódzkiego tygodnika społeczno-kulturalnego (a również i dla pism centralnych) to już pewien wiek, to już pewien dorobek. A jeszcze i nakład sugerujący Twoją, Czytelniku, sympatię! A jeszcze przyszłość (nowa drukarnia wchodzi już w stadium realizacji) zapowiadająca wreszcie pomysły zmiany! Może to symptomy, iż nasz DZIEWIĘCIOLATEK osiąga już wiek dojrzały? Tego mu w każdym razie życzymy. I tego żyć mu i Ty, Czytelniku.

Przyczynki do autobiografii

Dalszy ciąg ze str. 1

Początek wojny przeżyłem od czysto zewnętrznej, dekoratywnej strony. Podobaly mi się reflektory, które szukały samolotów, obmaczywały ciemne niebo nad Moskwą. Nie bałem się nigdy gdy syreny ogłaszały alarm. Byłem zachwycony i zafascynowany, że nosili takie piękne hełmy i karabiny. Jednakże jesienią 1941 roku wraz z wieloma innymi dziećmi ewakuowano mnie na Syberię. Miesiące jechałem w transporcie kolejowym, który składał się z szesnastu wagonów. Te szesnaste wagonów, to były wagony nieszczęścia i leż, natłoczone kobietami i dziećmi. Kiedy wreszcie dobieśliśmy do naszej stacji najokropniejszym dla mnie był widok niezliczonych żołnierzy, którzy zapotrzeni w formularze i karty urlopowe na dwa, trzy dni, brali popieszczenie śluby. General Guderian podsunął się tak blisko do Moskwy, że można było dojrzeć przez polową lornetkę, a ci młodzi ludzie musieli oświecić Moskwę własnymi ciałami! Nie było nadziei na ich powrót i młode narzeczone miały stać się wkrótce wdowami. Wówczas właśnie zrozumiałem okrucieństwo losu, kiedy to pierwsza noc małżonków bywała ich ostatnią. Prowadzono mnie, osiemnastoletniego chłopca, na wesołość, gdzie tańczyłem, aby zasłużyć na kawalek chleba lub jeden ziemniak. Wrażenia te opisałem później w wierszu „Wesołe”. I te wspomnienia są dla mnie bardziej ważne i bardziej przejmujące niż wszelkie piękne mowy i uroczyste zapewnienia na temat pokoju. Słowo pokój ma wtedy tylko konkretny sens, kiedy z własnych przeżyć wie się co oznacza wojna.

W roku 1944 wróciłem z matką do Moskwy. Zylam tam w pustym mieszkaniu przy cichej uliczce Mieszkańskiej pod nr 4. Ojciec, który rozwodził się z matką, żył gdzieś w Kazachstanie ze swą nową żoną i dwójkiem dzieci. Tylko rzadko otrzymywałem od niego listy. Mama była na froncie. Zarzuciła swój poprzedni zawód geologa i została frontową śpiewaczką. Mnie wychowywała ulica. Nauczyła mnie kłąć, palić i trzymać pięści w pogotowiu. Ulica nauczyła mnie nie bać się nikogo, przede wszystkim nie bać się silniejszego. Od tamtego czasu wiedziałem, że jeśli zechcę zostać poetą, będę musiał zatroszczyć się nie tylko o moje poetyckie umiejętności, ale także o to jak obronić mój poetycki punkt widzenia. W owym czasie pożerała mnie nienasycona ciekawość życia. Ta ciekawość wlewała mi w ryzykowne sytuacje.

W szkole byłem leniwym uczniem. Z odpowiedzi ustnych miałem najgorsze noty, za to w zadaniach pisemnych byłem najlepszym. Moje lata szkolne były dla mnie okresem czasu bardzo trudnym. Walczyłem stale z iluzjami i donosicielami. Nazywano mnie chuliganem. Po ukończeniu siódmej klasy zmieniłem szkołę. Lecz i tu nie przetrzymałem długo miejsca i zaznaczyłem się nieposłuszeństwem wobec szkolnych władz. Gdy pewnej nocy ktoś włamał się do pokoju dyrektora i zginełszy zeszyty, podejrzanie padło na mnie.

— To ty zrobiłeś! — wołał do mnie dyrektor. Bronielem się energicznie przeciw temu oskarżeniu, ale on wciąż powtarzał: „Ty, ty, ty!”

Pojąłem od razu, że zaprzeczanie jest bezcelowe. Wyrzucono mnie zaraz następnego dnia. Dopiero po siedmiu latach, gdy zaproszono mnie na uroczystość maturalną, dowiedziałem się kto popełnił włamanie.

Przez dłuższy czas próbowałem ukryć przed matką, że wyrzucono mnie ze szkoły. Wiedziałem jakim ciemem oszedłem dla niej ta wiadomość i chciałem jej oszczędzić zgrzyoty. Ale nadaremnie. Mama dowiedziała się i prosiła mnie płacząc, abym zgłosił się u dyrektora i błagał go o przebaczenie. Niezastępowanie, niesprawiedliwie podejrzanie wzmochno mój opór. Pewnego dnia postanowiłem uciec do ojca. Bez biletu, na dachu wagonu pojechałem do Kazachstanu. Miałem wtedy piętnaście lat i chciałem wykazać swą samodzielność.

Kiedy oberwany i brudny trafiłem nareszcie do ojca, oświadczył mi gotowość przyjęcia mnie, w charakterze pomocnika do swej geologicznej grupy poszukiwawczej. Teraz moim zadaniem było dziobanie żerdzią ziemi, aby odsłaniać poszczególne warstwy geologiczne.

Twarde i szare życie na pustkowiu wzbudziło we mnie zaufanie do ludzi. Żołnierze, którzy podczas wojny niezgrabnie wciskali mi kawałek cukru do ust, wieśniacy, którzy ratowali mnie w tajdze przed rozszereżonym niedźwiedziem, geologowie, którzy, aby mi ulżyć, często dźwigali mój ciężki piecaki na własnych barkach, robotnicy, którzy próbowali leczyć ziłkami moje poranione stopy — wszyscy oni utrwaliłi we mnie głęboką wiarę w człowieka.

Pewnego dnia wróciłem do matki w Moskwie, opalony na brązowo i zmęczony. Kiedy matka towarzyszyła mi ze stacją i jechałiśmy tramwajem, spostrzegłem nagle, że oczy wszystkich pasażerów skierowane są na mnie, a mama próbuje skryć swoje lzy. Jak się szybko okazało, używałem w naszej rozmowie, tak mocnych słów do których przywykłem na stacji geologicznej, że mama była zrozpaczona. Od tego czasu nie kłamałem już więcej, prawie nigdy więcej.

Kiedy przyjechaliliśmy do domu rozprułem spodnie, gdzie zaszyłem moje uczciwie zarobione pieniądze i wysypałem je na stół.

— Co chcesz z tym zrobić? — spytała matka, siadając w zdziwionym reze.

— Najpierw kupię sobie maszynę do pisania. Reszta jest dla ciebie.

Zacząłem teraz, dzień po dniu, nagabywać redakcje. Nie na wiele przydała mi się maszyna. Nie znajdowałem nikogo, kto chciałby publikować moje wiersze. Nocą pisywałem, w dzień grywałem w piłkę nożną na moskiewskich podwórkach. Wracałem do domu w dziurawych spodniach, podartych butach i z obtulczonymi kolanami. Największą poezją wydawało mi się wówczas zaskoczyć przeciwnika bramkarzem, przekonaniem tuż obok bramkarza, wbić piłkę w siatkę. Piłka nożna nauczyła mnie wiele. Później, gdy sam zostałem bramkarzem, przekonaniem się, że przeciwnika trzeba nie tylko zaskoczyć, ale trzeba przedtem przewidzieć wszystkie jego ruchy. Gra w piłkę nożną okazała się później moim sprzymierzeńcem w literackich rozgrywkach. Tylko że piłka nożna jest o wiele łatwiejsza. Jeśli strzeł się gola ma się natychmiast oczywisty efekt — piłkę w siatkę. Tego faktu nikt nie zakwestionuje. Jeśli w poezji odda się celny strzał, to przeciwnie, otrzymuje się często obelgi i gwizdy, ze strony tych, którzy oświadcza, że gola nie było, i człowiek stoi bezradny wobec tych gwizdów, bez możliwości udowodnienia czegośkolwiek.

Już dawno miałem zamiar posłać wiersze do pisma „Radziecki Sport”. Pewnego dnia udałem się do redakcji. Niemilem zapytałem o dział poezji. Ktoś odpowiedział mi opryskliwie, że takiego czasu w ogóle nie ma. Nagle poczułem na swoim ramieniu czyjąś wyciągniętą rękę i usłyszałem nieznanego mi głosu.

— Pisze pan wiersze? Niech pan pokaże! — Natychmiast nabrałem zaufania do tej ręki i do tego głosu. Nie zawiodłem się. Przedemną stał ciemnowłosy mężczyzna o pięknych, orientalnych oczach. Był to Mikołaj Tarasow. Prowadził równocześnie cztery działy: redakcję zaradczną, partyjno-polityczną, sportową i dział literacki. Przyjaźnie poprosił mnie abym usiadł. Zagięł się w czytaniu moich wierszy. Po chwili zapytał: „Ma pan więcej?”

Wyciągnąłem z kieszeni wyciągnięty zeszyt i powiedziałem z mieszanym: „Te jednak nie są o sporcie”. Tarasow roześmiał się. „Tym lepiej!”

Zaczął czytać wiersze na głos, nie zważając na stukot maszyny do pisania. Zwołał sekretarkę i powtórzył jej zwrotki, w której porównywałem winne grono do pęku baloników. Po chwili zwrócił się do wszystkich obecnych i spytał: „Co sądzicie? Naprawdę może on zostać poetą?” „Będzie!” — odpowiedziano zgodnym chórem. „Ja też jestem o tym przekonany!” — zwołał Tarasow.

Aż do dnia dzisiejszego pozostało dla mnie tajemnicą, w jaki sposób ci ludzie, już wtedy mogli we mnie dojrzeć przyszłego poeę.

— Wiersz „Dwa rodzaje sportu” opublikuje — powiedział Tarasow i dodał, brzmiało dla mnie magicznie słowa: „Do druku!”

— Którego spośród poetów specjalnie pan lubi? — spytał nagie Tarasow.

— Majakowskiego.

— Dobrze, ale to za mało; Zna pan Pasternaka?

— Tak. Znam.

— Mówi pan nieprawdę, jeśli pan twierdzi, że go zna.

I zaczął recytować wiersze Pasternaka pochylając się jeszcze raz nad moim zeszytem i wykładając mi dokładnie, co w moim wierszu jest prawdziwe a co błędne. To wszystko co niewyraźne, zamglone, bezbarwne, wodniste — nie znajdowało u niego uznania.

— Ma pan czas? — spytał. — Chciałbym pana zapoznać z moim przyjacielem fizykiem.

Z telefonował. Wkrótce potem zjawił się w redakcji trzydziestoletni mężczyzna o uderzająco wysokim czole i niespokojnych ruchach. Pod pachą trzymał szachownicę.

— To mój przyjaciel, fizyk, Wołoda Barlas — powiedział Tarasow.

— Czy mogę ci przedstawić poetę Jewgieni Jewuszenkę?

Szliśmy w trójkę ulicami pełnymi wiosny. Był to rok 1949. Barlas odwrócił się do mnie i powiedział:

— Co pan chce zwiastować światu?

— Chce światu zakomunikować, że jest poeta — wyrzucił mi Tarasow. — To już dużo.

— Chcieć zostać poetą — zauważył Barlas, unosząc brwi — to rzeczywiście bardzo dużo...

W jego głosie wyczuwałem pewne rozdrażnienie. Było oczywiste, że dla Tarasowa wiele znaczył ten zagadkowy człowiek z szachownicą. Wówczas idąc zaczęłem mówić wiersze.

Barlas przyglądał mi się wnikliwie.

— No, tak. Naturalnie. Jest pan utalentowany... Siła wyrazu, jak również piękna melodia

kie egzemplarze pisma, jakie były w kiosku, około pięćdziesięciu i wywijające gazetami, kroczylem ulicami Moskwy. Wydawało mi się, że ziemia kołysze się pod moimi stopami. Wierszem, że jestem geniuszem. „Tu, przeczytając coś interesującego” — mówiłem, zatrzymując przechodniów i rozdając im gazety. Kiedy przyszedłem do domu i przeświadczyłem o sukcesie rozłożyłem gazetę przed moją matką, ta powiedziała niezbyt uszczęśliwiona: „Tak. Teraz już ostatecznie jesteś zgubiony”. Jak się okazało nie myliła się.

Jak już poprzednio wspomniałem obydwaj, Tarasow i Barlas, odegrali wybitną rolę w moim rozwoju poeę i człowieka. Do dnia dzisiejszego nie rozumiem jak im nie zbrzydło opiekować się mną i zawsze mi pomagać pomimo mego nierównoważonego charakteru.

Barlas zapoznał mnie z podstawowymi pojęciami nowoczesnej filozofii. Otworzył przede mną drogę do dzieł Hamsuna, Joyce’a, Fröuda, Prousta, Stejnbecka, Faulknera, Saint-Exupéry i Remarque’a, które wówczas były w ZSRR bibliofilskimi rzadkościami. Zagłębiłem się w dziełach Whitmana, Rimbauda, Verhaerena, we wstrząsającym tragizmie Baudelaire’a, w czarodziejstwie strof Verlaine’a, w wyrafowaniu Rilkego, prerażających wizerkach Eliota i w zdrowej, chłopskiej mądrości Frosta.

Klasykę rosyjskiej literatury, którzy w szkole wydawali mi się tak nudni, przeobraziłem się nagle w bliskich, żywych ludzi. Podobne do bloków z granitu frazy Tołstoj, lekkie brzęczące jak telegraficzne druty zda-



(Z satyry Jugostowiańskiej)

i rytmem... Temu nie można zaprzeczyć. Ale w tym jest niewiele więcej niż pana życzenie, aby przekonać świat o pańskim talencie. Nie łatwo będzie panu to osiągnąć. Świat będzie oczekiwał od pana słów pełnych znaczenia, bogatych w treść. Co mu pan zaoferuje?

— Wołoda, on ma dopiero piętnaście lat — bronił mnie Tarasow.

— Niestety, musimy już teraz o tym myśleć, potem może być o wiele za późno.

— Wszystko przyjdzie samo — powiedział pogodnie Tarasow.

— Nie nie przychodzi samo. Wzruszenia są dobre, ale niewystarczające.

Jaką wdzięczność winienem losom, że w osobie tego człowieka znalazłem nauczyciela, który wyznaczył mi drogę. On i Tarasow widzieli we mnie ich własne, niezrealizowane pragnienia młodości — stanła się poetami. Pragnęli, aby ich marzenia ziściły się we mnie.

Długo wędrowaliśmy poprzez noc, aż do brzasku. Nagle Tarasow spojrział na zegarek.

— Za godzinę ukaże się dziennik, a w nim pana wiersz. Proszę pamiętać, że od tej chwili nie należy pan już więcej tylko do siebie — powiedział.

Wówczas niemal nie zauważyłem jego słów. Pożegnałem się z moimi przyjaciółmi i walczałem się ulicami Moskwy. Pełen niepokoju, niecierpliwie czekałem na otwarcie kiosku.

Znajdowałem się wtedy w towarzystwie jakichś pijaków wyciekających na otwarcie piwara. Do siódmej godziny było tak daleko.

Z rąk sprzedawcy gazet, wyrwałem pachnącą drukarską farbą dziennik „Radziecki Sport”. otworzyłem go i ujrzałem mój wiersz. Był podpisany moim nazwiskiem. Kupiłem wszyst-

nia Czechowa, szeleszczące jak jesienne liście zwroty Dostojewskiego, ukazywały mi się teraz w całym pięknie języka i głębi treści.

W roku 1952 ukazał się mój pierwszy tom wierszy pt. „Sfery przyszłości”. Prasa przyjęła go bardzo życzliwie. Jednakże, gdy pewnego dnia zaszedłem do księgarni, zauważyłem moje „Sfery” pięknie ustawione na półce i absolutnie nieruszone. Nagle zobaczyłem przy ladzie młodego człowieka kartkującego mój tomik. Pełen nadziei patrzyłem na chłopca. Ale kartkował krótko i westchnąwszy odłożył tomik. „To nie jest to czego szukam!” — powiedział do sprzedawcy. „Znam dziewczynę, bardzo miłą dziewczynę. Rozczarowała ją życie, a ja chciałbym ofiarować jej odpowiedni tomik wierszy, pocieszę ją. Niestety, w tym zbiorze jest tylko gadanina, pusta gadanina...”

Opuścił księgarnię i zniknął w zamyśle.

To przeżycie wstrząsnęło mną do głębi. Nie byłem wówczas w stanie już pisać. Zgłosiłem się do Instytutu Literatury i otrzymałem stypendium, które zapewniło mi utrzymanie. Od tej chwili chciałem pisać inaczej, o moich wątpliwościach, o własnym wielkim oczekiwaniu miłości, wyrażać ludzkie cierpienie. W redakcjach witano mnie słowami: „Co się z panem stało?” Jeden z redaktorów powiedział: „Niepokoję się o ciebie. Taki jesteś smutny, tak markotny jak starzec. My, przeciwnie, potrzebujemy wierszy pogodnych, rozpromieniających nadzieję!”

Nie byłem starcem! Dojrzałem nagle, ale owi ludzie, którzy nigdy nie mieli stać się dojrzałymi, widzieli w zwątpieniu i refleksji jedynie niebezpieczny pesymizm.

Thum. J. SKOSZKIEWICZ

MANUEL BANDEIRA *)

TLUM. ARNOLD ŚLUCKI

Recife

Wspominam Recife**).
Nie tę brazylijską Wenecję,
miasto armatorów,
zbiłkanych psów i
damoκραtycznych sprzedawców,
nawet nie Recife,
które nauczyłem się kochać
później, —
Recife
w trzęsieniach rewolucji,
wspominam Recife, w którym
nie ma nic —
absolutnie
nic! — godnego uwagi,
oprócz dalekiego dzieciństwa,
ulicy, na której
uczyłem się trząskać białem
i wybijać szyby
w willi donny Amny
Vegas.
Totinho Rodriguez — już wtedy! —
był zadziwiająco stary
i wiecznie łowił binokle
ścieżką poźółkłej dłoni.
Po wieczery całe rodziny
wysypywały się na chodnik.
Śmiechy, flirty, unki
na środku ulicy.
Une, due... nasz dziecięcy żargon,
zmierech zakwitał dziewczętom
na wargach:
— daj mi różę, różę krzewi
— daj różane twoje liźkol
(Nie jedna róża spośród tych róż
potem, nie rozwinąwszy się
zwiędła).
Nagle —
w wieczornej dali
dzwon:

— Pożar! Ręczę, że to płonie
Santa Antonia.
Drugie:
— Daję głowę, że to na Saint Jose!...
Mężczyźni groźnie naciągali kapelusze
i fajki zapalając w pośpiechu,
szli rzecz rozsądzić
na miejscu.
A mnie już parzyło nagle poczucie nierówności;
i w takich chwilach
nie chciałem być dzieckiem
i zadręczałem dorosłym.
Czyżbym nigdy nie widział pożaru?
Ulice dzieciństwa,
jakże piękne
były ich nazwy!
Ulica Słońca (boję się, że teraz
nazywa się ulicą
Tego czy Owego).
Ulica Samotności,
(ómiem tam papierosy)
krzyżowała się z ulicą
Porannych Żółz
(tę ulicę przebiegałem z wędką).
Kapiberibi,
Kapiberibi,
skąd już widać zarośla Casangi
i słomiane maty solarium.
Raz tu ujrzałem
nagą dziewczynę;
uśmiechała się do mnie
i zabiło we mnie
serce — — —
Powódź! Powódź...
Wypurczone drzewa;
wół, brodzący w mazi,
pogięte łuki mostu
i płuca
zobojętniałego Indianina
na rozchwianych w wodzie płotach.
Dni szereg.
Tygodnie.
Głowa na kolanach

dziewczyną;
ręka
na mojej głowie.
Kapiberibi,
Kapiberibi,
Ulice dzieciństwa...
Jedną z nich przechodziła z bananami
Murzynka
w afrykańskim pstrokatym szalu.
Za nią kułyłak czarny handlarz trzcinowego cukru
i ziemnych orzechów
(wymawiał zwykły: — „rzechów”),
ni to smażonych, ni pieczonych.
Głosy:
— Nabiał świeży! Grosz się należy!
— Na-a-biał...
Życia ksiątek i gazet nie zaznałem wtedy,
zycie znałem tylko
z ulicznej biedy,
słowa
żebrzące
z torbą i kijem.
Czyżby one tylko miały barwę i smak?
My zachwycały się zdaniotwórstwem Luzjady***),
tego nie kończącego się różańca niemożliwych rzeczy,
w których i tak nie mogłem się polapać.
Recife.
Ulica, gdzie babki dom ma zapach czasu,
Kto by pomyślał, że to kiedyś się skończy,
wszystko tu jakby przepojone wiecznością,
Recife,
gdzie ty, Recife,
Recife, miasto dobre i tak brazylijskie,
jak dom mojej babki.

*) Wybitny brazylijski poeta współczesny, obok Nerudy i Guillena zaliczany do czołowych poetów Południowej Ameryki.
**) Recife de Pernambuco, stolica stanu Pernambuco w Brazylii Wschodniej, słynie z handlu bawełną, cukrem i tytoniem.
***) Luzjady (od nazwy portu Os Lusíadas), epopeja Luisa de Camoensa. Luzjadami, czyli Lusytaniami zwa domnie-manych potomków Luzusa, mitycznego praojca Portugal-czyków.

EWA SIEMIŃSKA

SATYROMECCYNA

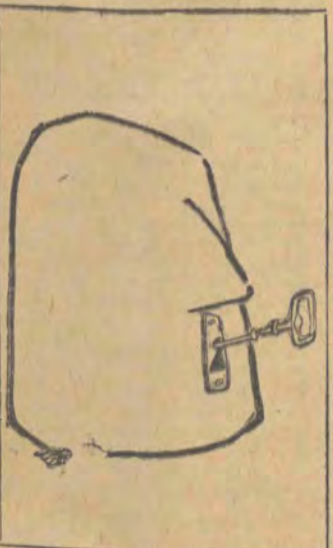
Rewelacyjny ów lek odkryty został w Tomaszowie Mazowieckim. Pracę przygotowały i wykonały wszystkie dziewczynki tamtejszych lekarzy, a inicjatorem wszystkiego był dr Jerzy Balcerak. Skuteczność działania „Satyromecyna” wypróbowała na sobie wielu mieszkanek tego 50-tysięcznego miasta. Pisząca te słowa również poddała się działaniu „Satyromecyna”, o czym donosi z satysfakcją i prawdziwym uznaniem dla pracy pomysłowej i wytrwałej dziewczynki lekarzy. Czas jednak wyjaśnić rzecz najważniejszą: co to jest „Satyromecyna” i jakiej choroby dolega. Jest to doskonały środek przeciwko nudzie i drętwocie, które choć nawiedzają nawet największe metropolie, szczególnie upodobały sobie tzw. pro-

gorące oklaski były najlepszą zapłatą dla zespołu i jednocześnie podjęto do dalszej pracy. Jako następny program nie dał na siebie długo czekać. Nosił nazwę „Wiosenko, wiosenko, cożes ty za pani...” Nie trzeba chyba dodawać, kiedy po raz pierwszy ujrzał go tomaszowianin. Po typowo lokalnej szopce — temat aktualny wszędzie i zawsze. Można więc było polegać się z nim także i poza rodzimym miastem. „Satyromecyna” wystąpiła z nim dwukrotnie w Spale — ku wielkiej radości przebywających tam wczasowiczów — i raz w Olsztynie — na zjeździe lekarzy Warmii i Mazur.

„Wiosenko, wiosenko...” ogła dałam niedawno na scenalnym, grudniowym występie „Satyromecyna”, ostatnim już chyba dla tego programu, a powtórzonym dla maruderów, którzy nie zdążyli go obejrzeć we właściwej porze. Martwiłam się na zapas — jak tu pisać o tym właśnie programie w traskające mrozy, ale okazało się, że niepotrzebnie. Paskudny figiel aury, której Wielkanoc pomylła się chyba ze świętami grudniowymi przyszedł mi wyraźnie z pomocą. Zresztą — to nie najważniejsze. Przecież wiosna to... miłość, a o miłości można nieskończenie, w każdym miejscu, niezależnie od wysokości słupka rtęci w termometrze. Wiosna i miłość — dawniej, dziś, w przyszłości — oto program nr 2 „Satyromecyna”. Sama go zresztą na wstępie zapowiada:

Znane są ludzkości chwile te od wieków,
Kiedy pieć dostrzeżga człowiek w ziciawieku (...)
Dlatego ujrzycie dziś w naszym programie,
Jak kochali dawniej panowie i panie;

Co znaczy „dawniej”? Uczony nudziarz rozpocząłby od sakramentalnego „już w starożytności...”. „Satyromecyna” z fantazją sięga w czasy da-



wniejsze. „Satyromecyna” to nazwa kabaretu występującego od roku w Tomaszowie, założonego przez tamtejszych lekarzy. Oni są jego twórcami i wykonawcami zarazem. Zaczęli od niczego. Mieli tylko własny zapal, poświęcenie i bardzo wiele wytrwałości. Kiedy przed dziesięciu laty dr Marek Bronikowski był jeszcze studentem Akademii Medycznej w Rokietnicy, nazwę „Satyromecyna” nosił tamtejszy teatrzyk studencki. Nazwę wymyślił właśnie pan Bronikowski. Teatrzyk miał krótki żywot; lata 1954-56. „Satyromecyna” odżyła znovu przy swoim autorze choć w odmiennych warunkach i dowodził, że studenckie próby i zainteresowania nie były przelotnym hobby, lecz są wielką pasją tego naprawdę uzdolnionego aktorsko człowieka. Owa pasja zarażeni są zresztą wszyscy członkowie zespołu. Gdyby nie ona, kabaret nie miałby szans przetrwania. Ba — chyba w ogóle by się nie narodził...

Równo rok temu w klubowej kawiarni tomaszowskiej Przychodni odbyła się premiera pierwszego programu „Satyromecyna”. Była to szopka ukazująca w krzywym zwierciadle satyrę tamtejszych ludzi, tamtejsze problemy. Program podobał się „chwycił”. Prawie nikt się nie obraził, tomaszowianie szczerze pośmiali się z siebie samych.



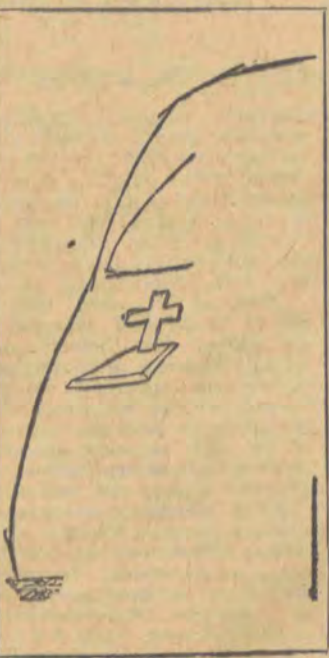
wniejsze i szuka przyczyn jabczanej afery w raj u własnie w wiosnie, w miłości. A swoją drogą, jakże nasza Polska przypomina raj: kiedy Ewa szuka swojego męża wołając „Adasiu! Coż u licha dzieje się z mym mężem? Adasiu! Gdzie ty jesteś?” — za sceny pada krótka, taka polska odpowiedź: „Poszedłem na wódkę z węzłem”. Potem — wiosna i miłość praszczura. Dalej — wiosna starożytna. Doskonały numer. Ciąży, dowcipny, nawiązujący do tradycji greckiego teatru w swym podziale na wypowiedzi chóru i partie solowe trzech starych. Zabawa typu „co by było gdyby”. Oto jej fragmenty:

„Lecz ileż ciekawsza wiosna Byłaby o rodacy, Gdyby w starożytności Żył dzisiejsi Polacy.”

„Dionenes by znów w beczce mieszkał Bo każdy wie od kolebki, Ze w nowym budownictwie Wolał jeszcze brak jakiejś klepki.”

„A jaka by w teatrze Była także uciecha: Tragedia Sofoklesa Pisana językiem Wlecha

I widział już Antygone, Jak lata z motyką po scenie, Bo ma w starożytnej kulturze Motyka niewąskie znaczenie.” (...)



„Lecz bieda by była największa Z Herostratesem, który W braku świątyni Ateny, Spaliłby Pałac Kultury!”

I tu następuje zawrotny „Pytia — twist” typu „chata i szkło” a la wieki dawne + absurd, czyli „pytia adapter ma i groję, bo pytia na twistu ma ochotę, więc jeśli pan zatańczy chce, to pytia mu nie powie nie...”

Po starożytności — czas na średniowiecze. Trubadury, duchy, inkwizycja, Smętny los duchów na wiosną...

„O duchu, biedny duchu — smutno ci na wiosnę, Skromnie pozagrobowe życie masz milosne, Bo choć ważny dusze kontakt, ale by się zdało Dla pokrzepienia ducha czasem jakieś ojało”.

I tango, tango — makabrycznej („Co nam zostało z tych lat lamania kołem, o jakże wtedy miał kat życie wesole”). Znakiem jest numer z inkwizycją. Nie podjęliśmy się go opisać. Musiałabym go przytoczyć w całości, lecz na to brak miejsca. Kapitalne pomysły — jeden po drugim, „Laura i Filon” detektywistyczny, z komentarzem dobrze poinformowanego faceta. Świeżość, oryginalność, fantazja, skrzyżcy dowcip. Dużo melodii, dobre wstawki magnetofonowe. Niewiele, ale za to bardzo dobre rekwizyty, przygotowane przez Czesława Sienkiewicza (z naszej łódzkiej telewizji). Doskonały kontakt z publicznością. Ruchliwość, świetne tempo. Trochę tańca. No i dobre teksty — pomysły, ciekawe, z własnym opracowaniem muzycznym. Oprócz tekstów własnych — trochę Gajczyńskiego i Tuwima w drugiej części programu, tej nowszej, o naszych czasach („Nie tylko proszę państwa wspomnienia radosne, czy państwo pamiętają przedwojenną wiosnę?” (...)) „Przez pięć następnych lat wiosny nie było”. W sumie — lekkość, dowcip, swoboda — tak istotne dla kabaretu, Program ambitny, nawiązujący do starożytności, dobrych tradycji kabaretu literackiego. Dużo śmiechu — trochę sentymentu, ciekawość — i drobna leżka. A przede wszystkim wdzięk. I tylko jedno ale... Z głosami nie najlepiej. Lecz nie rażąco. Zresztą skoro łódzcy aktorzy popisują się co pewien czas w telewizji swym brakiem talentów wokalnych, to dlaczego by nie wolno tomaszowianom w daleko węższym gronie? „Satyromecyna” okazała się dobrą satyrą moralno-obyczajową i polityczną. Nie odmówię sobie przyjemności przytoczenia fragmentów dwóch przemówień telewizyjnych z końcówki części programu. Maj — rok 2065:

„Tu telewizja Bonn! W związku ze 198 rocznicą urodzin kanclerz Adenauer wygłosił przemówienie, w którym raz jeszcze zapewnił naród niemiecki o niezwrotności woli odzyskania tery-

nów położonych na wschód od Ryni Odry-Nysa. Zdania swoje uzasadnił kanclerz sentymentami z okresu dzieciństwa, kiedy to już raz przechodził odgr. Szad Niemieckiej Republiki Federalnej podkreśla równocześnie, że lansowane przez propagandę komunistyczną stwierdzenia, jakoby te terytoria świadczyły o zdradzeniu naszego ukochanego kanclerza, są pozbawione jakichkolwiek podstaw”.

„Tu Waszypłot. Wiadomość z ostatniej chwili. Jak dowiadujemy się, ponowna próba wylądowania kosmonautów amerykańskich na Księżycu zakończyła się niepowodzeniem. Jak oświadczyli po powrocie kosmonautów, nie zdecydowali się oni na lądowanie na powierzchni srebrnego globu ze względu na wyjątkowo niekorzystne warunki panujące w pobudowanych tam hotelach sowieckich. Oto jeszcze jeden dowód niedoskonałości ustroju komunistycznego...”

Obecnie „Satyromecyna” kończy przygotowywanie swego trzeciego z kolei programu. Premiera: koniec stycznia — początek lu-



(Z satyry Jugosłowiańskiej)

tego. Tytuł — „Wojna powiatowa”. Temat: „ośrodek wielkomiejski i jego problemy widziane oczami rozsądnego prowincjusza. Z całego serca życzę miłemu zespołowi powodzenia. A Wam — drodzy Czytelnicy — żebyście mieli okazję obejrzeć sam „Satyromecyna” w Łodzi.

SKŁAD ZESPOŁU:
Kierownictwo zespołu, autorzy tekstów i zarazem wykonawcy: Jerzy Balcerak, Marek Bronikowski, Ryszard Michalewicz;
wykonawcy: Lucjan Cieszkowski, Zygmunt Drajląg, Jerzy Drzewek, Andrzej Gulczyński, Elżbieta Guz, Danuta Kowalska;
pianista: Liliana Kuźmierczyk.

Książki nadesłane

- Jan Giraudoux — Bella, PIW, cena zł 14.
- Aleksander Minkowski — Urlop na Tahiti, W. Łódzkie, cena zł 18.
- Bohdan Arct — Cena życia, LSW, cena zł 25.
- Wojciech Zabłocki — Podróże z szablą, SIT, cena zł 20.
- Wiesław Jaskółyński — Reportaż z pustego pola, Wyd. Łódzkie.
- J. Krasoń — Z dziejów Łasku, Wyd. Łódzkie.
- Rocznik Muzeum Sztuki w Łodzi, Wyd. Łódzkie.
- M. Cygański — Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi, Wyd. Łódzkie.
- Jerzy Wittlin — Vademeum grafomana, WL, cena zł 20.
- Jan Paek — Zainteresowania kulturalne młodzieży wiejskiej, LSW, cena zł 15.
- Jan Lyskowski — Dowódca kompanii, MON, cena zł 14.
- Formuła nieśmiertelności, Iskry, cena zł 10.
- Władysław Machajek — Moje dwudziestolecie, WL, cena zł 35.
- Józef Arbaud — Stwórznad Zalewu, WL, cena zł 15.
- Jan Pokrzywa — Wiele przeszłości rzek, MON, cena zł 16.
- Maria Kann — Niebo nieznanie, MON, cena zł 18.
- Jerzy Ficowski — Cyganie na polskich drogach, WL, cena zł 30.

ZMARŁ SOMERSET MAUGHAM



16 grudnia ubiegłego roku zmarł w swojej willi na Riwierze francuskiej (w pobliżu Nicei) w wieku lat 91 — Wil lam Somerset Maugham. Pozostało po nim 18 powieści, 29 sztuk teatralnych, 120 opowiadań (short stories), 2 tomy esejów i ogromna fortuna, którą zapisał on swojemu sekretarzowi. O Somersetie Maughamie można powiedzieć słowa, jakie Gombrowicz wypowiedział kiedyś o Sienkiewiczu: jest to pierwszorzędnym pisarzem drugorzędny. Maugham chciał być czytany, pisał dla czytelników i miał ich wszędzie, gdyż książki jego przekładano na wiele języków i ogłaszano w wysokich nakładach. Tłumaczono go i u nas, przed wojną i po wojnie. Ale, o dziwo, o ile jego powieści i opowiadania cieszyły się ogromnym wzięciem, o tyle nie miały w naszym kraju powodzenia jego sztuki teatralne. Zda się, zresztą, że nie tylko u nas, skoro przez kilka lat krążyła o Maughamie jako dramaturga opinia, że „pisze on po wodzeniowej sztuki bez powodzenia”. Sztuki Maughama gra nie były na polskich scenach rzadko i na ogół nie miały szczęścia do recenzentów. O „Lady Frederic”, którą grała sama Irena Solska, Boy w trzecim tomie „Flirtów z Mel pomena” napisał, co następuje: „Nie szukajmy wielkich problemów w tej sztuce, skłonej najwinnie i zreczenie razem dla jednej popisowej roli”. W parę lat później tenże Boy-Zeleński tak ocenił „Skandal” Maughama, wystawiony w warszawskim Teatrze Letnim: „Skandal” jest dobrze napisaną sztuką, nieco na starożytną modłę, z tezą, rezeronem, morałem, żywym występkiem i papierową enotą”. Kto zna język krytyczny Boya, ten wie, iż zawarta w jego recenzji pochwała brzmi trochę przekąśliwie. Wreszcie recenzję swą o komedii Maughama „Kiedy wrócisz?”, granej w Teatrze Cwilińskiej i Fertnera, zakończył Boy zwyczajnie i po prostu: „Natomiast co do „Kiedy wrócisz?” nie ma żadnych wątpliwości — talcie sztuki można by z wielką łatwością, a z większym pożytkiem produkować w kraju”.

Po wojnie żadna z jego sztuk nie trafiła na polskie sceny. Inaczej dzieje się z opowiadaniem i powieściami tegoż autora. Zaledwie przed paroma laty ukazało się u nas kilka wznowień jego utworów („Księżyc i miedziak”, „W niewoli uczuć”, „Skrawek ziemi” i inne), których próżno by szukać dziś w księgarniach. Rozeszły się całkowicie. Wielka poczytność rzeczy prozatorskich Maughama każe zastanowić się nad źródłami ich powodzenia. Zanim jednak spróbuje to uczynić, chciałbym przypomnieć, że Somerset Maugham, urodzony 25 stycznia 1874 roku w Paryżu, gdzie ojciec jego pełnił funkcję radcy prawnego ambasady brytyjskiej, był z wykształcenia lekarzem, wiele i często podróżował, widział życie barwne a nawet nieco awanturnicze. Jego nieposkromiona ciekawość i chęć przygody popchnęły go do krań egzotycznych, które posłużyły mu za akcję do niejednego z opowiadań (patrz tom „Okragły tuzin”). Od czasu, gdy jako 23-letni lekarz napisał swoją pierwszą powieść „Liza Lambeth” (opartą na obserwacjach poczynionych w londyńskiej klinice

dla ubogich), zaczęła się jego kariera pisarska. Nigdy już do zawodu lekarza nie wrócił, choć bardzo sobie ten zawód cenil. W autobiografii „Podsumowanie” (The Summing Up) napisał na ten temat: „Nie znam lepszego przy gotowania dla pisarza, niż spędzenie kilku lat w zawodzie lekarskim”. Jako zwolennik Freuda, uważał, że w życiu człowieka ogromne znaczenie posiada często to, co wygląda na przypadek, i w jego utworach literackich znalazł wiele „brzemieni nych w skutki przypadków”.

Końcowe lata swego życia Somerset Maugham spędził w odosobnieniu i nie już właściwie nie stworzył. Jakże znamienne jest jego wyznanie, złożone na łamach „Sunday Express” 25 stycznia 1964 r. w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin: „Nie mam żadnych pragnień, aby cokolwiek jeszcze napisać. W mojej głowie nie kryją się żadne idee, nie ma w niej konfliktów i nie powstają tam żadne historie. Ostatnie słowa, które tkwiły we mnie, dawno już napisałem. Moje pióro złożyłem do lamusa”. Karierę literacką zawiązywał Maugham sobie samemu. Od początku wiedział, czego chce i do czego zmierza. Zachwycał się pisarstwem i głębią Dostojewskiego, ale własnej twórczości postanowił zupełnie inne zadania. Maugham posiadał w wysokim stopniu dar, który Niemcy nazywają „Lust zum Fabulieren”. Umiał opowiadać i lubił opowiadać. Jego utwory prozą to doskonale opowiedziane historie, które przydały się wielu ludziom, lecz głównie i przede wszystkim jemu samemu. Żaden inny pisarz nie uczynił takiego użytku ze swej biografii. W każdej powieści i w każdym opowiadaniu Maughama znajdujemy jego własne przeżycia. Pisarz wcale się z tym nie krył, że tworzył literackim jego utworów jest on sam. Maugham pisał lekko i zajmująco. Wiedział, że ten sposób pisania nie spodoba się wielu krytykom. We wspomnianej już autobiografii „Podsumowanie” zanotuje: „Krytycy nie bardzo lubią, jeśli książki są również do czytania i — jak w moim przypadku — są naprawdę czytane”.

Somerset Maugham pisał książki popularne w najlepszym znaczeniu tego słowa. Każde jego opowiadanie osnuje jest na jakimś wydarzeniu zawiera interesującą fabułę i zaskakującą pointę. Bo haterowie jego utworów, wtrącając w niezwykle sytuację, zachowują się zwyczajnie i w tym tkwi atrakcyjność pomysłów pisarza. Książki Maughama przyniosły mu powodzenie i bogactwo, którego pragnął. Przytoczmy jego własne słowa: „Główną wartością sukcesu było to, że nie miałem żadnych trosk finansowych. Sądę zresztą, że sukces nie zmienił mnie wcale. Może dlatego nie, ponieważ zawsze oczekiwałem sukcesu. Gdy nadszedł, przyjąłem to jako coś naturalnego. Sukces pomógł mi jedynie w tym sensie, że uwolnił mnie od wszelkich kłopotów i niepewności. Nienawidziłem biedy, Nienawidziłem sytuacji, kiedy trzeba było wydrapywać ostatnie grosze, by móc wegotować”.

Na Riwierze francuskiej zmarł Somerset Maugham — pisarz angielski, którego powieści zna cały świat.

Jan Koproński

STANISŁAW
KASZYŃSKI

Kolumbowie — rocznik dojrzały

Ze od literatury oczekujemy obecnie czegoś więcej niż przedstawienia intrygujących fabuł z niezwykłymi bohaterami, dowodem na to — nie jednym — są chociażby ogromne sukcesy wydawcze różnorodnych wspomnień, pamiętników, dokumentów, także i reportaży. Rosnący popyt na tego rodzaju książki zachęca m. in. do spisywania biografii ludzi już o trzydziestce, a więc takich, co ledwie roz poczeli żyć na serio. Nie wchodzi przy tym, czy jest to potrzeba rzeczywista lub urojona; widocznie rozglądanie się z takiej perspektywy lilipecznej kusi silnie wielu i to prawdopodobnie ze względu na przyszłe powodzenie tej produkcji. Otóż w przemianie upodobań czytelników upatrywałbym pewne znużenie fikcją literacką jako rezultatem działania, że tak powiem, bezinteresownej, czystej wyobraźni. Owe przesunięcia psychologiczne i kulturowe rozpoznał, jak się zdaje, i redaktor naczelny „Odgłosów” — zdradzę tu małą tajemnicę — skoro żyje, a nie próbuje w pełni drukowania wszelkich „próż” na tych lamach. I chyba ma jakąś rację.

Dlaczego tak się dzieje, jakie przyczyny przeinaczają tradycje powieści, zainteresowania, nakierowując zdecydowanie uwagę ku innym formom wypowiedzi i ku innym ujęciom rzeczywistości, ku innym jej obszarom, słowem, co jest podstawą zaszczepionej wyżej modyfikacji? Decyduje o tym, jak przypuszczam, natarczywe pragnienie czytelnika smakowania nagich faktów i zdarzeń, możliwe surowo podanej historii. Tym większa ma szansa zafrapowania, że utwory ściślej splatają się z jego, czytelnika, bądź widza doświadczeniami, im gwałtowniej zahaczają o klucze i szyfry spraw, przeżyć, jakich już przetrwawionych, znanych, a tylko niedopowiedzianych, lub tylko zaszypanych czasem. Nie wahałbym się powiedzieć, że sukces, kariera autentyczności, mówiąc najogólniej, w literaturze i w dramacie, to znaczy takiej postaci rejestracji, kiedy ujawnia się czulsze, często ostre, niekiedy wręcz tragiczne spiecia czy konfrontacje między nadawcą a odbiorcą, są w dużym stopniu zasługą naszej spirali, zagęszczonej historii. Współtężyć ją, unosimy się na jej burzliwych falach, podległych kaorytmom, meandrycznym prądom i wirom.

A że od teatru, który jest przecież czymś więcej niż li-

teraturą, nawet tak szeroko pojętą, bo jej spotegowana instrumentalizacja, oczekujemy równie drażniących dotknięć, nie trzeba dalek rozprawić. Tak książka Romana Bratnego jak i jej dynamiczny skróty sceniczny spełniają te oczekiwania znakomicie. Odsypują bowiem szczególnie bolesny kopiec bliższej i dalszej przeszłości, i to kopiec nie tylko jednego pokolenia, ponieważ odgrzebuje atmosferę i sytuację społeczeństwa lat wojny i powojnia. Z drugiej strony — oczyszczają teraźniejszość, gdyż oświetlają trudne i zawile ścieżki, drogi, wawoju okresu, który przecież liczy się w każdym polskim życiu rysie, koresponduje z naszym współczesnym czasem. Z jego wierzchołka daleko już łatwiej ogarnąć i zrozumieć to, co się stało: kontemplować dni walki i bohaterstwa, wnikać w argumentację takich czy innych wyborów, i śledzić następnie konsekwencje powziętych decyzji. Bratny, nie skłapiąc swojej generacji z AK złoceń heroizacji, widać z jej wielkich i niepokojących stale cieni młot i legendę, nie zagubił wszakże tego, co w każdym pokoleniu dojrzałym nad Wisłą i Wartą, było koniecznością: pokazał wierność nadrzędnej idei, którą tu jest ojczyzna, żarliwość i bezkompromisowość w walce z wrogiem i nieustannie — nakaz wyboru. Ten ostatni moment Bratny eksponuje szczególnie mocno zwłaszcza wówczas, kiedy pod łunami, po klesce, trzeba złożyć broń i opo wiedzieć się po tej lub innej stronie. Tu musi paść decyzja wyboru, w nim zawiera się i akt zaangażowania. Bratny dowodzi bezapelacyjnie, a spektakl jeszcze utrwala to przekonanie (narzuca je i punktuje drażliwie sam final), iż w naszych warunkach to prawo określenia swej postawy ideowej działa z nieubłaganą surowością. I tenże refleks zmuszający do uzewnętrznienia świadomości przyjąłem jako motyw prowadzący, i książki, i spektaklu. Myślę, że właśnie ten refleks, wyprowadzony z analizy faktów i doświadczeń, pokazanych w teatrze w konkretnym, lecz ekspresywnym skrócie, podwyższa dostrzeżalnie temperaturę widowiska, budząc jej gorące reakcje, a nado — koryguje nasze myślenie historyczne i wzbogaca je dostatkami. Takie to pozytywki wilaminizacja rozmyślenia — a coż ważniejszego może oferować nam teatr współczesny, jeśliby unikal sprawiania podobnych satysfakcji?

Chwale przeto rozgłośno Teatr im. Jaracza, tym bardziej, że nareszcie w końcu drugiego miesiąca niemrawego sezonu na scenach łódzkich, zgłosił prozodyczną wartą naprawdę żelaznego przyjęcia. Gdybyśmy żyli w mieście, które posiada tradycję polemiki i dyskusji literackiej i artystycznych, omawiany spektakl dostarczyłby wcale ważkiego zaczepu do nich. Rzadko trafia się przed stawienie, oparte na adaptacji powieści, a więc na

niebezpiecznych i ryzykownych dla oryginału przesłach, gdzie by „ściagi” myślowe i ideowe autora, jego całościowa wizja, odnalazły tak rzetelny, śmiały i funkcjonujący teatralnie równoważnik w zgola przeciw odmienniej strukturze. W każdym punkcie tej roboty transpozycyjnej poznaje się rękę doświadczanego teatralnika. Chwale z kolei p. Adama Hanuszkiewicza również i za powłokę, w jaka obłoki tekst, bardzo sugestywna, bardzo intensywna emocjonalnie (opalone mury z rysunkiem cegieł jaśniejącego domu z piwnicą z oczołami okien — stanowisk bojowych, okna te grają wstrząsającymi skojarzeniami w miarę posuwania się akcji). Nie było sensu poprawiać tej scenografii, słusznie się stało, że powtórzone ją w Łodzi. Nie widziałem, niestety, spektaklu warszawskiego, wnoszę jednak, że p. Barbara Jaklicz, reżyser, skopiowała i inne układy, pomysły, rozwiązania, stał uchylać się od odczytu jej wkładu.

Pod względem aktorskim spektakl uderza skrupulatnie zestawionym składem wykonawców; jest wybitnie meski co do płci, jest meski, żołnierski, zaoalny, mimo akcentów powściągliwości, i w samej realizacji. Wyobraźm sobie, jak świetnie czują się w tych rolach, wyciętych przecie z owego kruszcu, z Mickiewiczowskiej lawy, z której bodaj wszyscy zostaliśmy odłani, ci chłopcy —



przepraszam panowie. Poprawka kurtuzajna, bo oglądaliśmy m. in. i F. Zukowskiego (Pan z OPL i płk. Kosłapkin), M. Nawickiego (gen. Drobny) i Z. Nowickiego (Kosiorek). Oczywiście, to nie samograj, ale to gra się z pewnością z „fajerm”, z wewnętrznym gorączką, bez dystansu. Rzadko mi się przytrafia, abym miał ochotę (a moja ochota w tym zakresie bywa uzasadniona) pisać o całej obsadzie. W tym wypadku przepisałbym bez zastrzeżeń tę długą kolumnę nazwisk. Ale nie robię tego, ufając, że widzowie przeczytają je w programie, nb. sta rannie zredagowanym przez p. K. Bobrowską, właśnie w aspekcie szerokiej i doniosłej problematyki sztuki. Ponieważ jest to dramat — dokument o młodzieży, wymienię jednego aktora z młodszych roczników. Nie miałem dotąd okazji o nim pisać, jestem przekonany, że to się wkrótce nadarzy: uwaga, chodzi o Macieja Małką.

P. T. im. S. Jaracza: Roman Bratny, Kolumbowie, rocznik 20, adaptacja i inscenizacja Adam Hanuszkiewicz, reż. Barbara Jaklicz, scenogr. Mieczysław Wiśniewski, premiera — listopad 1965 r.

KRONIKA Anty televizyjna

ODRABIANIE ZALEGŁOŚCI

Prawdę mówiąc, zaległości powstały duże i niewiele da się odrobić. Próbować jednak trzeba, bo to świadczy o wysokim morale, a resztę zważyli się na półgębku (bez tego u nas na przełomie roku nawet nie wypadł) i na, powiedzmy, tralatrabatata-prst!

„Pięć minut przed północą” (z 13.XII.1965) słowackiego pisarza Jana Solovicia to udratyzowana publicystyka, poświęcona sprawom służby zdrowia. Niestety, przemówiło pokazanie skutków, zawiódł tropienie przyczyn, należy bowiem szukać ich głębiej i czasem wyżej, na różnych piętrach struktury medycyny społecznej. Nawet zjawisko znieczulicy, tak dotkliwej i upokarzającej, ma przecież swój rodowód nie tylko w cechach subiektywnych przedstawionych ludzi.

„Powrót „Szkłanej niedzieli” powitaliśmy z zadowoleniem.

Pani Ewa Krasnodębska rzadko pojawia się na ekranie telewizyjnym. Jej wielki i trudny monolog w utworze Jana Cocteau „Mężczyzna” był nasycony dramatyzacją, przejmował. Bezbronnosc zakochanej kobiety wobec łobuza, którego uosabiał p. Czesław Wollejko, nie jest tak bardzo niezwykła, jak to próbowała mi udowodnić panna Zosia Bąk, która jest jeszcze po prostu młoda. — Idiota i bydlak! — wołał pan Maliniek — tak lekceważyć piękną kobietę! Ja bym tam nie był nieczuły! — Ba, kiedy p. Krasnodębskiej chodziło o p. Wollejkę, nie zaś o mężyczne w ogóle. Na tym cała rzecz polega.

W międzyczasie spotkałmi się z p. Andrzejem Łapickim, ulubieńcem teatromanów. Jeszcze jeden popis umiejętności aktorskich. I również w jednym utworze, co daje dodatkowy zysk widzom. Nie stać mnie na dokonanie próby scharakteryzowania talentu znakomitego aktora. (Nie bywa się w teatrach warszawskich, bez tego zaś wszystko na nic.) Można tylko mówić o wrażeniu: Łapicki podbija swobodą, patrząc na niego, nie czuje się jego wielkiego przeciwnika, nie czuje się dystansu, on jest jakby wśród nas, telewizorów. Tak było i w trudnej sztuce Saroyana „Zabawa jak nigdy”.

„Ballada wigilijna”, opracowana na podstawie tekstów folklorystycznych przez Ernesta Bryllę, była czymś znakomitym zarówno aktorsko jak i tekstowo. Jeszcze raz przekonaliśmy się, że folklor, gdy do niego umiejętnie sięgać, nie starzeje się; nie za-

wiódł nikt z wykonawców.

Dobre przedstawienie „Dam i huzarów” budziło pretensje do sytuacji technicznej. Barwna, kostiumowa komedia, wymagająca przestrzeni dla rozwiązań sytuacyjnych — dusiła się w ciasności. Nie więc dziwnego, że Jacek Woszczerowicz jako Rotmistrz grał przede wszystkim twarzą, a kamera doskonale to wydo była. Spośród innych wykonawców wyróżniłbym przede wszystkim p. Henryka Borowskiego w roli Grzegorza. Natomiast młodzi zakochani we fredrowskich komediach zawsze byli czymś trudniejszym do ożywienia, w tym wypadku również.

Rzadko kiedy oglądam filmy na małym ekranie, o których za długo byłoby tutaj mówić. Ale film włoski „Bravissimo” okazał się doskonałą komedią. Gorzej wypadł koncert rozrywkowy „Przedstawiamy”. Ograniczanie się do popisu choćby najlepszych piosenkarzy, a taka jest aktualna konwencja, to mało, konferansjerzy — choć reprezentowali doskonałe nazwiska: Irena Dziedzic, Kazimierz Krukowski, Jerzy Ofierski, Zenon Wiktorczyk i Lucjan Kydryński — raczej zawiedli.

„Syrrena z Łodzi” pochodziła miła rys przekomarzanek towarzysko — rodzinnej. Hej, jakie dawne to czasy! Lza w oku się kręciła! Jak na mój gust, Jerzy Jurandot zbyt serio potraktował perypetie i zastręgi sympatycznego teatruku oraz jego dyrektorów. Wydaje się, że dziś cokolwiek założyć — pismo, teatr lub zwłaszcza dobrą kawarenkę, a w to wszystko Łódź włożyła obfitość — jest, o żłobowości czasu, znacznie trudniej.

Sylwester w TV udał się, aczkolwiek bez większego nakładu kosztów posłużono się montażem piosenek i filmami. Program „Moulin Rouge” zawierał parę numerów pozabawianych smaku (czegoż to się w Paryżu nie robi dla bogatych emigrantów!), za to wprost rewelacyjny był film „Tokio, taniec i piosenka”!

„Mikrokabarek” Starszych Panów tym razem wyjątkowo skutecznie apelował do szlachetniejszych odmian poczucia humoru.

Dobrze się stanie, jeśli wieczór noworoczny, poświęcony właśnie humorowi i rozrywce, wywoła jakieś bardziej szczegółowe opinie. Przed wszystkim p. Grzegorz Lasota w „Pegazie” w sposób wielce żłobliwy pokazał rozrywkowe przybytki stolicy, skądinąd cieszące się niezłą renomą. (Inna rzecz, że sam zaczął od starego sposobiku z pićm wody spodywej czy lemoniady po nocy sylwestrowej, wyeksploatowanego bezpośrednio przed nim przez „Szkłaną niedzielę”, sposobiku nb. zawsze zabawnego.) Powołał w dodatku poważnych rzeczowników ze świata nauki: pp. Artura Sandauera i Jana Strzeleckiego, którzy też tym razem nie wypadli zbyt korzystnie. Literatura, poświęcona powstawaniu humoru, jego istocie i postaciom jest ołbrzymia i łatwo za pośred-

nictwem rzeczowej analizy sprawę dokładnie upuścić. Piszącemu te słowa wydaje się na przykład, że największą rację ma Boy w szkicu „Śmiech”... „Komizm, humor, dowcip są elementami śmiechu, ale nie są jego elementami jedynymi ani tym mniej jego zasadą.” Boy jest za „infantylną koncepcją śmiechu”. Może się nam to nie podobać i nie podoba, ale gdy się słyszy śmiech bardzo nawet zaawansowanych inteligentów z najbardziej płaskich dowcipów, to ta koncepcja triumfuje. Co zaś do kabaretów — działają one w określonych sytuacjach, decyduje moment bezpośredniego kontaktu, ewentualna żarliwość nastroju na widowni.

Trudniej natomiast usprawiedliwić rozrywkowy konkurs czterech miast na zadany temat „Zaczynamy karnawał”. Wolelibyśmy jedną dobrą audycję, zmontowaną wspólnym wysiłkiem, niż cztery z których każda zawierała nieco pomysłowości i dowcipu, ale w sumie — do czego w jednej z nich uczciwie przyznano — był to narzucony obowiązek: „proszę nie przeszkadzać, my tu musimy bawić społeczeństwo”...

Członek Dostojnego Jury p. Jerzy Waldorff zarzucił Katowicom wzorowanie się na konkretnym filmie francuskim. Czyste nieporozumienie. Naprawdę nie da się ustalić, kto pierwszy i w jakich okolicznościach zastosował pomysł, oparty na retrospekcji, pewnie jest, że stało się to na długo przed nazwanym filmem francuskim. Dotyczy to i łódzkiej (zresztą zenujaco szubackiej) filmowej kroniki karnawałowej; kroniki, przedrzeźniające choćby normalne rubryki gazet na prima aprilis, są pomysłem bardzo starym. Co do mnie, byłem zaskoczony zbyt pozytywnym werdyktem Dostojnego Jury, na którego twarzach przecież ani przez moment nie widziałem się rozważa. Nie nie wskazywało na to, że Jury się dowiesili!

Sprawa pozostaje (i pozostanie) jako otwarta...

Jan Huszczyński

PS. Nawiązując do poprzedniego felietonu, warto zasygnalizować, iż „Życie Warszawy” zapowiedziało cykl rozmów z uczonymi polskimi na temat Tysiąclecia. Inauguracyjna rozmowa z prof. Witoldem Kułą o polskich zdolnościach gospodarczych zapowiada ten cykl jako wielce obiecujący...

Do wiadomości raczej niepokojących należy tu, iż od 1 stycznia radiowy program I ma być nadawany do trzeciej w nocy. Czy to ulepsza program? Bynajmniej! Natomiast, ze względu na naszą wyjątkowo niską kulturę sąsiedziów współzycia, niejedne nerwy ludzkie dodatkowo i jakże dotkliwie ucierpią!

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Niedawno oglądaliśmy na naszych ekranach film ze sławnymi „Beatlesami”. Była to graćka pierwszej klasy dla młodocianych wielbicieli ich piosenek i stylu. Była okazją dla ujawnienia i u nas zbiorowej historii niedostrzeżonych nastolatków. Na szczęście pełni temperamentu Polacy okazali więcej spokoju i zdrowego rozsądku niż rzekomo flegmatyczni Anglicy. Sal kinowych nie demolowano, w długich ogonkach przed kasami panował względny porządek, nie zasłyszano nawet dźwięków pływających z ekranu. Dzięki temu film mogli oglądać bez przeszkód i ci, którzy nie będąc miłośnikami piosenek angielskiego zespołu, interesowali się „Beatlesami” jako fenomenem społecznym i ciekawymi byli samego filmu. I nie zawiedli się. Okaz-

ując gitarą” zapoznaje widzów z nieznaną u nas, a szalenie popularną na Zachodzie Siliwią Vartan, która zdetronizowała w plebiscycie wśród czytelników „Cinemonde” niepokonaną od 8 lat Brigitte Bardot, osłabiając tym samym rekord popularności. Siliwia Vartan — piosenkarzka i aktorka stanowiąca model i wzór dla milionów dziewcząt francuskich, jak ongiś uroczka BB, widzimy i słyszymy także w filmie Mulaćkę Nancy Holloway, o której mówi się na Zachodzie i nie bez racji, że jest to „dynamit z mikrofonem”. Jednym z bohaterów „Szukajcie gitarę” jest Johnny Hallyday — piosenkarz, który wprowadził w Europie twista, żonaty z Siliwią Vartan, której sława przyćmiła jego własną gwiazdę. Stuchamy w filmie zespołów „Les

Causettes Noires” i „Les Surfis”, a poza wymienionymi już słowami, także popularnego Franka Alamo i uroczą Sophie. Dla miłośników francuskiej piosenki film stanowił więc nie lada atrakcję. Gorzej jest natomiast z „drugą stroną medalu” — fabułą. Rzecz jasna — stanowi ona tutaj zwykły pretekst. Jest w najwyższej mierze prymitywna, naiwna, schematyczna i właściwie — byle jaka. Nic tu nie pomoże epizodyczna rola Mylene Demongeot, ani udział Fernanda — juniora, tzn. Francka. — Jak można wygrać te drugą stronę — pokazal film o „Beatlesach”. Niestety, film „Szukajcie gitarę” nie powtórzył już tamtego sukcesu.



„SYN KAPITANA BLOODA” — przygodowy, kostiumowy film Tullio Demicheliego podobać się będzie z pewnością przede wszystkim widzowi młodocianemu. Jest to opowieść o losach młodego, pięknego, dzielnego bohatera, który przypadkowo zostaje piratem, wstępując mimo woli w ślady sławnego ongiś ojca — kapitana Blooda. Zgodnie z regułami gatunku jest to opowieść awanturnicza. Narzą więc bohatera na mnióstwo różnorodnych niebezpieczeństw i przeciwności. Bójki i pojedynki zajmują tu dużo miejsca i czasu, trup ściele się gęsto, a aktorzy mają okazję popisać się wyjątkową sprawnością fizyczną. Najbardziej

emocjonująca walka rozgrywa się jednak nie na rozkolysanym polkadzie, jest nią zmaganie się z żywiołem, a właściwie ucieczka przed nim. Nie można go opanować, więc walka polega jedynie na ratowaniu bezbronnych: dzieci i kobiet. Ten żywioł, to straszliwy trzęsienie ziemi, które powoduje napróżd liczne pożary, a potem wtargnięcia morza na ląd i zatopienie miasta. Owe sceny kulminacyjne zrobiłoby bardzo dobrze, pełne są niebywałej ekspresji, będą więc cieszysz zapewne i emocjonować nie tylko młodociana część widowni. „Syn kapitana Blooda” podejmuje próbę uszlachetnienia swego gatunku nie tyle w jego formie,

bo ta była już wcześniej doprowadzona do perfekcji, co samej treści. W tym celu wprowadza się naiwne i prymitywne rozróżnienie dobrych i złych piratów oraz bardziej ambitny wążek walki z niewolnictwem, zarysowany z umiarem, bez natręctwa. Akcja rozgrywa się w latach dwudziestych XIX wieku i ukazana jest na szerokim ekranie w kolorach stanowiących zbyt intensywnych, jak na mój gust. W tytułowej roli oglądamy Seana Flynna — syna sławnego specjalisty od tego rodzaju filmów Errola Flynna, pamiętnego zapewne starszemu pokoleniu. Jest to ekranowy debiut tego młodego aktora. Przypomina on chwilami

do złudzenia Giuliano Gemmę — znakomitego akrobata, odtwórcę głównej roli w „Przybyciu tytanów”. Z gry i wyglądu, w filmie przygodowym nie może zabraknąć pięknych kobiet. Rolę tej najpiękniejszej gra Alessandra Banaro.

W sumie „Syn kapitana Blooda” jest filmem jednym z wielu, widowiskowym, typowo rozrywkowym. I jako taki doskonale nadaje się do obejrzenia w okresie świąteczno-noworocznym: nie grozi wyrwaniami umysłów z ich błogiej odcieżalności.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje

W BUDAPESZCIE ODKRYTO STARODRUKI PISM LUTRA

Wiele spośród pierwodruków pisma Marcina Lutra, o których sądzono, że zaginęły bezpowrotnie, odnaleziono w Budapeszcie w Bibliotece Szechenel. Do odnalezionych druków, które pochodzą wyłącznie z XVI wieku należą: list Marcina Lutra z września 1527 roku skierowany do angielskiego króla Henryka VIII. List ten, z przedmową angielskiego humanisty Leonarda Cox, został wydrukowany w Krakowie w 1527 roku, drugim odnalezionym starodrukiem jest pismo Lutra, w którym reformator atakuje wliwny papieżowi kler w Mainz. Druk Katechizm Lutra drukowany w roku 1531 w Norymberdze i lipskie wydanie kazań Lutra o dekalogu. Włoska agencja prasowa doniosła o znalezieniu dokumentu z podpisanymi Lutra i przedstawiciela słynnego szlachectwa Orsinich. Pergamin pochodzący z 1520 roku ukryty był w dzbanie z terrakoty i został przypadkiem znaleziony przy robotach ogrodniczych w jednym z ogródów klasztornych niedaleko Avellino.

JEZIORO GÓRSKICH DUCHÓW

Tylko nieliczni śmiały się wyprawać się nad jezioro Dien-Dier, co w języku altajskim oznacza Jezioro Duchów Gór. Człowiek, który tam zawedrował, chorował nierzadko i przez całe późniejsze życie. Ale niezwykły widok wabił odwadnych. Oto nad gładką powierzchnią jeziora unosił się szary obłok, a pośród mgły migotały fantastyczne niebiesko-zielone smugi o ludzkich kształtach. Jednym ze śmiałków był młody altajski malarz Grigorij Czoros. Wędrując wśród skał, mimo zawrotów głowy, dobrał on do tajemniczego jeziora i naszkicował barwne zjawisko. Powstał obraz o przedziwnych, zaskakujących kolorach. Obrazem Czorosa zainteresowali się naukowcy. Badając rodzaj, układ i zestawienie barw doszli do wniosku, że niedaleko jeziora musi być rtec. Ekspedycja geologów, w której wziął udział także i pisarz Iwan Jefriomow, stwierdziła, że istotnie nad jezioro Dien-Dier są bogate złoża rudy. Jefriomow napisał potem opowiadanie pt. „Jezioro górskich duchów”.

Grigorij Czoros po studiach stał się wkrótce najlepszym pejzażystą na Syberii i brał udział w licznych wystawach malarzskich pod pseudonimem Grigorij Gurkow. W okresie kuitu jednostki Gurkow zginął w r. 1938.

NAGRODY PAŹDZIERNIKOWE BELGRADU

Z okazji przypadającego na dzień 20 października Święta Wyzwolenia Belgradu zostały przyznane liczne nagrody. W dziale literatury nagrodę otrzymał pisarz Petar Džadžić, w dziale plastyki rzeźbiarz Jovan Kratochvil. Nagrodę w dziale muzyki otrzymał kompozytor Enriko Josif, a Ivan Antić i Ivanka Raspopović w dziale architektury za projekt i realizację Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Koncepcje architektoniczne tego muzeum, wzniesionego w Nowym Belgradzie tuż przy zbiegu rzek Dunaju i Sawy, są bardzo nowoczesne i ciekawe. Zwiędzający muzeum, dzięki ogromnym oknom i odpowiedniemu usytuowaniu architektonicznemu, mogą oglądać tu dzieła sztuki, a równocześnie podziwiać piękno otaczającego muzeum krajobrazu - wodę rzek, zieleni roślinności i historyczne zabytki.

PICASSO, GILOT I DUCHOWY LABIRYNT

„Jestem ciekawy - powiedział pewnego razu Picasso rzucając spojrzenie na obrazy Gilot - jakie ona robi postępy w pracy”. Gilot robiła postępy, a jej praca rozwinęła się w korzystny interes, ale Picasso nie jest już ciekawy wyników. Françoise Gilot, była towarzyszką życia Picassa ma luże obrazy, które kupowane są chętnie i za dobrą cenę. Przypomnijmy, że Françoise Gilot napisała książkę (przy współpracy krytyka sztuki nazwiskiem Carlton Lake) pt. „Życie z Picassom”. Książka ukazała się najpierw w Ameryce, potem w Anglii, a następnie we Francji, gdzie wywołała ogromne poruszenie. Picasso poczuł się znieważony i podał autorce do sadu, który jednak oddalił skargę sławnego malarza. Przeciwno ukazał się książkę protestowało ponadto ok. czterdziestu francuskich artystów. U nas książka Gilot znana jest z obszernych fragmentów drukowanych w „Życiu Literackim”. Françoise Gilot od kil-

ku lat zajmuje się intensywnie malarstwem. Po wystawie w Nowym Jorku, gdzie sprzedała całą swoją kolekcję składającą się z 60 płócien, Gilot przyjechała teraz z nowymi obrazami do Niemiec zachodnich. Wystawia w Hamburgu 31 swoich dzieł. Jej olejne obrazy na tej wystawie są malarzkim reportażem z podróży do Grecji w lecie 1962 roku. Część tych dzieł - to malarstwo przedmiotowe, inne - to abstrakcyjne, jak np. „Okno na morze”. Françoise Gilot oświadczyła reporterom: „Zaczęło się to podróżą do Grecji, a zakończyło podróżą w mój duchowy labirynt”. Jej płótna noszą wyraźne cechy wpływów Georges Braque'a i Henri Matisse'a. Picassowskie gołębie i sowy, tak charakterystyczne dla jej poprzedniej twórczości malarzkiej tym razem uleciały z jej obrazów. Malarka twierdzi, że Picasso miał na nią największy wpływ w roku 1953. W rok później Françoise Gilot wsiadła do taksówki, by po dziesięciu latach pożycia, opuścić na zawsze, starszego od niej o czterdzieści lat Picassa.

Czterdzieści cztery dni dziś Françoise, która w międzyczasie wyszła za mąż za malarza Luc Simona maluje w ostatnich latach bardzo dużo, bo ok. 50 obrazów rocznie. Od lat dziesięciu paryska galeria Coard wystawia jej płótna.

QUIZ? WYRAFINOWANA REKLAMA?

Holenderska firma produkująca płyty „Philips” wypuściła na rynek długogrającą płytę z nagraniami stu fragmentów utworów muzycznych, czterdziestu siedmiu kompozytorów. Płytę reprodukuje się w ciągu 40 minut, ale poszczególne urywki symfonii, koncertów i oper trwają od kilkunastu do kilkudziesięciu sekund. I tak np. fragmentu „Tańca z szablami” Chaczaturiana można słuchać przez 23 sekundy, Schumann „Marzenia” w ciągu 21 sekund, a „Niedokończona” Schuberta kończy się już po upływie 17 sekund. Od początku października rozprowadzono już 6.000 egzemplarzy płyty. Quiz zaś polega na tym, że ani na etykiecie płyty, ani na jej opakowaniu nie ma ani nazwisk kompozytorów, ani tytułów utworów. To właśnie musi zagnad słuchacz. Na szczęście, razem z płytą sprzedawane jest

rozwiązanie oraz rada producenta dla tych, którzy nie potrafią trafnie odgadnąć zagadki: „Kupujcie więcej płyt Philipsa”. Załączony katalog ułatwia wybór. „Ta muzyczna zagadka - powiedział holenderski krytyk muzyczny Lex van Delden - jest doskonałym sposobem masowego rozpowszechnienia klasycznej muzyki, a równocześnie wyrafinowanym trikiem reklamowym”.

KSIĄŻKA O DOŚWIADCZENIACH FOTOREPORTERA

Fotokorespondent TASS-a Walerij Gende - Rote pisze książkę, o swoich doświadczeniach fotoreportera. Gende - Rote opowiada w niej o swych licznych pracach ilustrując je odpowiednimi zdjęciami, a co ważniejsze chce zapoznać czytelnika z tym jak każdorazowo powstawał zamysł reportażu i jaką technikę zastosował dla jakiegoś zrealizowania takiego zamysłu. W ten sposób Gende - Rote wprowadza czytelnika w zagadnienia swego warsztatu.

Hi dziennikarzom kilku informacji. „Hrabianka” będzie filmem bardzo zabawnym - powiedział - a równocześnie będzie to również bardzo romantyczny. „Chcę stworzyć coś niezwykłego, coś zupełnie różnego od tego co do tej pory robiłem”. Akcja rozgrywać ma się w południe statku żeglarskiego, zaraz po drugiej wojnie światowej, do Hongkongu. Zofia Loren będzie w tym filmie bohaterką, która nie jest bezczelna. Więcej na temat akcji i tematu Chaplina nie chciał powiedzieć. Film będzie kolorowy i będzie kosztowny. Niepewni w całości zostanie namontowany w atelier w Londynie, sceny zaś plenszowe zostaną sfilmowane w Honolulu. Główną rolę grać będzie Zofia Loren, która jak pamiętamy, na IV Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie otrzymała pierwszą nagrodę za grę w filmie „Wiosna w Wenecji”.

ZEMSTA KRYTYKÓW

Publiczność na premierze klaszka przez 20 minut, ale reżyser nie był zadowolony. Na sali nie było bowiem ani jednego



Gende-Rote wykonał to zdjęcie Zofii Loren na dworcu lotniczym, bezpośrednio po jej przybyciu do Moskwy na IV Międzynarodowy Festiwal Filmowy.

ZOFIA LOREN W NAJNOWSZYM FILMIE CHAPLINA

Osiem lat minęło od ostatniego filmu Charlie Chaplina. Obecnie sławny aktor i reżyser, po tak długiej przerwie, znowu przystępuje do pracy nad swym nowym dziełem. Już w styczniu mają być nakręcone pierwsze sceny filmu „Hrabianka” (tytuł prowizoryczny). Siedemdziesięcioletni Chaplin jest, jak zwykle, autorem scenariusza i reżyserem. Nie będzie jednak w swoim filmie aktorem. Na temat swego nowego dzieła Chaplin udzie-

krytyka teatralnego. Reżyser włoski Franco Zeffirelli już przed rzymską premierą „Wilczycy” Giovanni Verga obraził krytyków nazywając ich szarlatanami i nie szczędząc złośliwych epitetów pod adresem rzymskiego środowiska kulturalnego. Recenzenci teatralni wszystkich pism od komunistycznego „Unita” po prawicowe „Tempo” postanowili nie napisać ani słowa o sztukach reżyserowanych przez Zeffirellego przez cały sezon teatralny. Do tej pory włoski reżyser nie mógł narzekać na brak pochwał ze strony krytyków. Prasa za-

chwycła się jego reżyserii. Dziś 42-letni Zeffirelli uchodzi za jednego z najwybitniejszych młodych reżyserów teatralnych na świecie.

W początkach swej kariery, jeszcze jako student architektury uczył się sztuki reżyserkiej u tej miary włoskich mistrzów co Luchino Visconti, Vittorio De Sica czy Roberto Rossellini.

Na wspomnianym przedstawieniu „Wilczycy” nie było krytyków, ale ktoś zwrócił uwagę, że fotele prasowe zajęte były co do ostatniego. Zeffirelli zauważył: „Krytycy przysiali swoje żony”.

FILMOWANIE CIĘKAWSZYCH KREACJI TEATRALNYCH

Ministerstwo spraw zagranicznych Francji powzięło inicjatywę filmowania wybitnych kreacji scenicznyc. Filmy te odtwarzające wiernie gre sceniczną wybitnych aktorów francuskich, mają być następnie wysyłane za granicę np. na uniwersytety i do ambasad francuskich w różnych krajach. Do pierwszych sztuk, które zostaną przeniesione na ekran należą m.in. „Król Krzysztof” Aimé Césaire'a, „Życie paryskie” Offenbacha i jedna ze sztuk Moliere. Młody realizator Martin Korriz zacznie nakręcać te filmy z początkiem przyszłego roku.

PICASSO PO OPERACJI

Skoro wspomnieliśmy o Picassie dodajmy, że wielki artysta ukończył 84 lata, a niedawno przeszedł operację dróg żółciowych. Operację tę zachowywano w ścisłej tajemnicy, a prasa dowiedziała się o niej dopiero, gdy Picasso w dobrym stanie zdrowia opuścił szpital.

OLEG KOGAN ZDOBYWCĄ PIERWSZEJ NAGRODY

Oleg Kogan, radziecki skrzypek zdobył pierwsze miejsce w międzynarodowym konkursie skrzypcowym im. Sibeliusa, otrzymując 3.000 dolarów nagrody. W konkursie uczestniczyli muzycy z 16 krajów. Drugie miejsce zajął Jozua Epstein z Izraela, a trzecie - Walerij Gradow ze Związku Radzieckiego.

SŁOWNIK DLA AMATORÓW KRZYŻÓWEK

We Francji został wydany specjalny słownik dla amatorów rozwiązywania krzyżówek. Jest to pierwszy na świecie tego rodzaju słownik. Został on zestawiony przy pomocy elektronicznej maszyny na podstawie małej encyklopedii Laroussa. Wszystkie wyrazy sklasyfikowane są według tematów, ilości liter itp.

„POKOLENIE” - PO ROSYJSKU

Nadadem „Chudożestwiennej Literatury” wyszła niedawno w ZSRR książka Bohdana Czeszki - „Pokolenie”. Powieść ukazała się w serii „Obca powieść XX wieku”, w przekładzie S. Swackiego, Wstęp napisał S. Larin.

„Powieść „Pokolenie” - pisze Larin - jest bodaj najlepszym utworem polskiego pisarza Bohdana Czeszki. W ciągu 10 lat od chwili jej wydania, była niejednokrotnie wznowiana, weszła do programów szkólnych i wg niej nakręcił film jeden z najbardziej utalentowanych reżyserów Andrzej Wajda. Nowe pokolenie wie jedynie z książek, za jaką cenę zostało zdobyte zwycięstwo, jak mężczyźni i hartowali się w walce z faszystowskim najeźdźcą ich ojcowie, starsi bracia i siostry - przedstawiciele tego pokolenia, do którego należą bohaterowie powieści Czeszki i on sam” (el)

KARL DEDECIUS O KONTAKTACH NIEMIECKO - POLSKICH

W wydanym w Stuttgarcie roczniku („Jahrgang 1968”) ukazała się m. in. obszerna rozprawka Karla Dedeclusa pt. „W imieniu lepszej przyszłości”, poświęcona historii stosunków niemiecko-polskich w literaturze. Autor, ułębiorożony laureat polskiego PEN-klubu za zasługi przykładowy i popularyzatora poezji polskiej na niemieckim obszarze językowym, dokonał przeglądu kontaktów niemiecko-polskich, poczynając od Reja a doprowadzając aż do chwili obecnej. Cenna ta publikacja, wydana również jako druk osobny, służy pięknemu celowi, jakim jest wzajemna znajomość kultur pomiędzy narodami.

„TANGO” MROŻKA ROBI KARIERĘ

Nie tylko u nas w kraju, o czym świadczą pełny sukces tej sztuki, wystawionej w Warszawie i Łodzi (Teatr Powszechny), ale także za granicą. Angielski „Times” pisał niedawno, iż „Tango” to najwazniejsza sztuka, jaka pojawiła się w Europie wschodniej po ostatniej wojnie, a Mrozek to najwybitniejszy dramaturg na wschód od Łaby. Zważywszy powściągliwość Anglików w uznawaniu wartości obcych, ocena ta wydaje się szczególnie znamienna.

W podobnym duchu, co „Times”, wypowiedziały się o sztuce Sławomira Mrożka pisma francuskie, włoskie, niemieckie i austriackie.

POLSKI DOWCIP

W Anglii ukazała się anologia humoru europejskiego, w której znajduje się m. in. następująca anegdota jako rzekomo spo cyficznie polska. Oto ona: „W zimowy ranek młody zajączek wybrał się na spacer. Nagle na miedzy znalazł duje on ćwiartkę wódki, pięknie zalakowaną. Dobrze się dzieł zaczyna - mówi zajączek. Idzie dalej i napotyka skaczącą wiewiórkę. O, coraz lepiej - wola zajączek - jest wódka i jest ruda dziewczyna. Nie uszedł stu kroków, gdy napotyka wilka. Coż za szczęśliwe przypadki - cieszy się zajączek - jest wódka, jest ruda dziewczyna, jest zająca. Na skraju lasu zajączek ujrzał niedźwiedzia. Nie, tego jeszcze nie było - zawołał zajączek z zachwytem - jest wódka, jest ruda dziewczyna, jest zająca i jest komu dać w mordę”.

Łaboda

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK. Rok przeleciał i oto znów jesteśmy starsi i doświadczniejsi - kalendarzowo. Oczywiście ci, którzy żyją sztuką i kulturą gwiazdza na czas uciekający, ich dusze odmładzają się systematycznie w ciepłej i ożywczej kąpieli. Córki Apollina i Mnemozyny: Kilo, Kaitopa, Talla, Erato, Euterpe, Polihymnia, Terpsychora, Urania i Mel pomona cały rok przysgotowały te listy naszego duszom, by ciału krzepko je mogły powlekać i drwić sobie z szelestu kartek kalendarzowych. Podsumowaniem, bilansem, danym statystycznym i innym tego typu „ramowym” wzruszeniem, służy, jak wiadomo, Sylwester. Jest nadzieja, że wszystkim tym czynnościom postawiono odpowiednio dużą i tłustą kropkę, przy akompaniamencie wy-

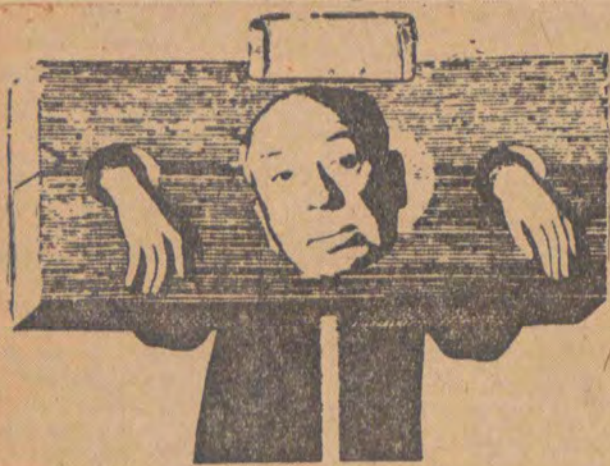
strzałów szampana (butelka w cenie około 60 złotych). WTOREK. Teraz z uczuciem sytości i ukontentowania można zaczynać nową 364 dni, bowiem rok był obfity i konsumpcja (sztuki) przebiegała ochoczo. Na przykład w łódzkich Związkach Zawodowców - wg danych statystycznych GUS (styczeń 1965 roku) - z dość obszernego menu największym wzięciem cieszyły się występy zespołów amatorskich własnych; frekwencja 132.823 osoby. Nawet filmy fabularne (frekwencja 128.823) - ofiarowująa człowiekowi mnogość muz, mnogość treści, całą iluzyjność prawdy i prawdziwość iluzji, różnorodność formy i tempo - nawet film nie zdołał przyciemnić w związkowcach

rozsmakowania, w największej radości, jaką dają im przeży artystyczne we własnym wykonaniu. Podobnie w proporcjach, co potwierdza hipotezę, wygląda zagadnienie w województwie: występy amatorskie własne, frekwencja 323.866 osób; filmy fabularne - 285.059 osób. Nasuwa się wniosek pierwszy, że amatorski artystyczny ruch, szeroko zakrojony i sięgający tak wielu iść kibiców (to coś więcej niż widownia), wynika z naturalnej i głębokiej, tkwiącej w człowieku potrzeby tworzenia wartości wykraczających poza biologiczną egzystencję, Ale... SRODA. „Ale, żeby to rozmakowanie mogło przebiegać w rozmakowaniu, a nawet prawdziwą twórczość - muszą być uprzednio spełnione pewne, powiędzmy, warunki. Siegnijmy do urzędów, form oświatowych i artystycznych upowszechniania sztuki w programie realizowanym przez WKZ i, przez prasam, znów do GUS (styczeń 1965 r.). W mieście: studia wy-

chowania estetycznego - uczestników 588. W województwie: studia wych. est. - uczestników 597. Koła miłośników sztuki (miasto) - miłośników 652. To samo w województwie - uczestników 670. Odczyty literatury pięknej (miasto) - frekwencja 23.981 osób; w województwie: 13.808 osób. A więc „imprezy” o charakterze wprowadzającym: uakcje i przygodzającym do właściwego rozumienia, do wtajemniczenia i do „nawiedzenia” w sztuce, te imprezy są dziesięciokrotnie mniej popularne niż występy własne. Nasuwa się wniosek drugi, że amatorski ruch artystyczny uzyska swój pełny sens społeczny i kulturowy, jeżeli zostanie uzyskana równowaga między wiedzą o kulturze a jej obiórem, i nade wszystko - uprawianiem. Ale... CZWARTEK. „Ale są jeszcze białe plamy na mapie kulturalnej Łodzi i Województwa. Niektóre Zw. Zaw. poza kinem, i choć nieco wypętały zespołów własnych, nie intere-

sują się lub prawie nie interesują niczym. Spożywczy i Cukrownicy, Energetycy, Łączności, Transportowcy i Służba Zdrowia nie mogą wykażać się, ani jednym odczytem z literatury i sztuki. Występuje tu pewna prawidłowość, gdyż te same Zw. Zaw. tak w mieście jak i w województwie są maruderami i te same związki przodują. (Włokiennicy, Nauczyciele, Metalowcy, Chemicy, Budowlani). Nasuwa się wniosek trzeci: „prawdopodobnie” mogą być przypadkowe i występować przejściowo (GUS - styczeń 1965), ich złożoność jest wielokrotna, mniej jednak na upodobania i przekroju życia kulturalnego w związkach wpływa właśnie „baza poznawcza”, o której mówiłem w śróde. Nie można oczywiście lekceważyć składowej i tradycji związku, jak również charakteru wykonywanej pracy. Na przykład nerwowy „nieoładny” i niewyregulowany czasowo tryb pracy w Transportie i Służbie Zdrowia nie może nie mieć wpływu na życie kulturalne związkowców i ich upodobania w „najbardziej relaksujących” im prezech.

PIĄTEK. Wniosek końcowy: rozważania, które lek komyślnie podjąłem w „Notatniku kulturalnym”, nadają się do poważnych socjologicznych badań i po ważnej (tak mi się zdaje) książkowej publikacji. SOBOTA. Jak to dobrze, że już sobota. Tylko patrzeć, a wiosna, późniejsza lato, a jesienią - flintę na ramię i do Nowosolnej. Tam ci raj! Pięć, piątka... i dzik leży, imgodny jak rzutek (nie mylić z podrzutkiem). Myślę, że nikogo nie brakuje. Będziemy strzelać do biegnącego rogacza. Panowie intelektualści, artyści - a żywo! Olimpijska strzelnica myśliwska pod Łodzią. Tam krew krwią rozgrzać, wiatrem twarz osmażyć, nerwy napiąć, wrócić do domu z pięknymi rogami i palną, palną psiekrem - fraze, poemacki, knocił-dzieli kol! NIEDZIELA. Opowieść kryminalna. (w zawieszce, ale pisze się).



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Leonard Mead bardzo lubił spacerować samotnie w ci-
szy, która zawsze wieczorem
otulała listopadowe miasto. Z
rękoma w kieszeni szedł po
nierównym asfaltowym chod-
niku, starając się nie deptać
wystającej z szelczin trawy.
Zatrzymywał się na skrzyżo-
waniu, wpatrywał się w tun-
nele ulic i wtedy decydował,
w którą stronę iść. Często
szedł tak bardzo długo, mila
za milą, i wracał dopiero o
północy. Po drodze przypa-
trzywał się domom z zaciem-
nionymi oknami. Wydawało
mu się, że idzie przez cmen-
taryz. Leonard Mead przysta-
wał, pochylał głowę i słuchał,
a potem prawie bezszelestnie
szedł dalej. Zawsze gdy wy-
chodził na wieczorny spacer,
uprzednio wkładał buty na
miękkiej podszewce: gdyby
zaczął stukać obcasami o
chodnik — w każdej dzielni-
cy wszystkie psy powitałyby
go wściekłym wyciem, a wy-
straszeni ludzie, pogasiwszy
światła, zaczęłyby wyglądać
przez okna.

Tego wieczoru szedł w stro-
nę zachodniej części miasta —
tam, niewidoczne jeszcze,
znajdowało się morze. Pod
stopami sześcioty opadłe je-
sienne liście, a on szedł i
gwizdał cichutko, pochylał się,
brał do ręki liść i przy świe-
tle latarni spoglądał na wzro-
zy z cienkich żyłek, i wdychał
gorzki zapach jesieni.
— Hej, wy — szeptał prze-
chodząc obok domów — co
macie teraz w czwartym pro-
gramie, w siódmym, w dzie-
wiątym? Dokąd pędzą cow-
boy'e? Na pewno w tej chwili

li zza wzgórz wylania się
nasza dzielna kawaleria.
Ulica gineła gdzieś w dali,
cicha i pusta, i tylko jego
cień ślizgał się po niej, niby
cień jastrzębia nad polami.
Gdyby zamknął oczy — czło-
wiec poczułby się jak w A-
rizonie, w samym sercu zim-
nej, nieżywej równiny, gdzie
nie dochodzi wiatr i pośród
tysięcy mil nie ma ani jed-

RAY BRADBURY

Niebezpie-
czny
spacer

nego domu i tylko koryta
wysychłych rzek — bezludne
ulice — obejmują cię w two-
jej samotności.

— A co teraz? — zapyty-
wał domy, spoglądając na ze-
garek. — Pół do dziewiątej?
Najlepszy czas dla dokonania
kilkudziesięciu wspania-
nych zbrodni. A może pro-
gram rozrywkowy?

Co? W domu pobielonym
przez księżyc ktoś cicho się
zaśmiał? Leonard Mead zwol-
nił kroku — nie, nie nie sty-
chać. Poszedł dalej. Potknął
się — chodnik w tym miejscu

był bardzo nierówny. Asfal-
tu zupełnie nie było widać,
porastały go polne kwiaty i
trawa. Już dziesięć lat tak
chodzi nocą i dniem, prze-
szedł tysiące mil, ale jeszcze
ani razu nie spotkał choćby
jednego przechodnia, ani ra-
zu.

Skręcił w załęk: czas wr-
cać. By dostać się do domu
należało przejść przez jedną
dzielnicę. Nagle z rogu wy-
skoczył samochód i oślepił go
swoimi reflektorami. Leonard
Mead zamart jak śma, która
dostała się w krąg światła,
a potem niczym zaczarowany
ruszył w stronę samochodu.

— Stać! Ani kroku dalej!
Zatrzymał się.
— Ręce do góry!
— Ależ...
— Ręce do góry! Będziemy
strzelać!

Sprawa zupełnie jasna —
policja, rzadki, nieprawdopo-
dobny przypadek. W mieście
liczącym trzy miliony miesz-
kańców był tylko jeden sa-
mochód policyjny. Jeszcze rok
temu, w 2052 — w roku wy-
borów — siły policyjne zo-
stały zredukowane, i z trzech
samochodów, pozostał tylko
jeden, a to dlatego, że pra-
wie wcale nie było przestęp-
ców.

— Nazwisko? — metalicz-
nym głosem spytał samochód.
Jaskrawy snop światła ośle-
pił go i dlatego nie mógł doj-
rzeć ludzi.

— Leonard Mead.
— Głośniej!
— Leonard Mead!
— Zawód?

— Jestem pisarzem.
— Bez określonego zawodu
— prawie do siebie rzekł po-
licyjny samochód.

— Tak też można powie-
dzieć — zgodził się Mead.

Od wielu lat już nic nie pi-
sał. Nikt nie kupował tygod-
ników i książek. „Wszystcy
teraz zamykają się w do-
mach, jak w piwnicach” —
pomyślał, kontynuując rozpo-
czętą uprzednio grę wy-
obraźni. — „Piwnice te,
oświetlone są bladym świa-
tłem telewizyjnych ekr-
anów, a ludzie siedzą
przed nimi jak martwi. Szary,
bądź też różnokolorowy blask
pełźnie po ich twarzach, ale
nigdy nie dotyka duszy”.

— Bez określonego zawodu
— wyszeptał mechaniczny
głos. — Co pan robi na uli-
cy?

— Spaceruję — odparł Leo-
nard Mead.

— Spaceruje pan?!
— Tak, po prostu spaceru-
ję — przyznał się, blednąc.

— Po prostu spaceruje pan?
— Tak, sir.

— Gdzie? Dlaczego?
— Oddycham świeżym po-
wietrzem. I patrzę.

— Gdzie pan mieszka?
— W południowej części



miasta, Saint-James-street, je-
denaście.
— Przecież u pana w domu
również jest powietrze, mis-
ter Mead. Chyba ma pan apa-
raturę klimatyzacyjną.
— Tak.
— Do patrzenia służy tele-
wizor.
— Nie.
— Nie? — Milczenie, coś
zaczyna trzeszczeć, a przerwa,
która nastąpiła po ostatnim
pytaniu, wygląda jak oskar-
żenie.

— Czy jest pan żonaty, mis-
ter Mead?
— Nie.
— Nieżonaty — powiedział
chropowaty głos, skrywający
się za oślepiającym pasem
światła.

Księżyc wznosił się wysoko
i plonął pośród gwiazd, do-
my stały szare, milczące.

— Żadnej kobiecie jakoś
nie przypadłem do gustu —
wyjaśnił z uśmiechem Leo-
nard Mead.

— Milczcie, jeżeli nie pytają!
Leonard Mead czekał; zima
noc zbliżała się do niego.

— Fan po prostu spa-
cerował, mister Mead?
— Tak.

— W jakim celu?
— Mówiłem już: miałem o-
chotę przejść się po świeżym
powietrzu i popatrzeć.

— Jak często pan to robił?
— Każdego wieczoru, od
wielu lat.

Policyjny samochód sterczał
na środku ulicy. W głośniku,
z którego wydobywały się py-
tania — coś huczało.

— No cóż, mister Mead —
warknął samochód.
— Czy to wszystko? — na-
iwnie zapytał Mead.

— Tak — odpowiedział głos.
— Proszę się zbliżyć. — Ty-
ne drzwi samochodu otworzy-
ły się ze zgrzytem. — Wła-
zić!

— Chwileczkę, przecież ja
nic złego nie zrobiłem!
— Włazić!
— Ja protestuję!
— Mi-ster Mead!
I poszedł chwiejnym kro-
kiem jak pijany. Przechodząc
obok — zajął do wnętrza.
Samochód był pusty.

— Włazić!
W tylnej części samochodu
znajdowało się małe zakrato-
wane pomieszczenie. Pachnia-
ło żelazem. Ławka też była
z metalu.

— Gdyby pan był żonaty,
żona mogłaby potwierdzić
pańskie alibi — powiedział
żelazny głos. — Ale...

— Dokąd mnie wieziecie?
Samochód się zawahał, nie
wiedział co odpowiedzieć, da-
ło się słyszeć warczenie i
trzask, jakby gdzieś we wną-
trzu mechanizm-informator
wyrzucił kartkę z przebitymi
otworami i podał ją do odczy-
tania elektrycznym oczom.

— Do Centrali Psychiatrycz-
nej w celu zbadania atawis-
tycznych skłonności.

Gdy Mead znalazł się w
klatce — bezszelestnie zamk-
nęły się za nim drzwi. Samo-
chód policyjny mknął po noc-
nych ulicach miasta, oświetla-
jąc sobie drogę przyćmionymi
reflektorami.

Po chwili ukazał się dom.
Tylko jeden był taki, jedyny
w tym mieście ciemnych do-
mów. To w nim paliły się
wszystkie elektryczne lampy,
a żółte kwadraty okien od-
świeciły plonęły w chłodnym
zmrzchu nocy.

— To... mój dom — powie-
dział Leonard Mead.
Milczenie.

Samochód pędził coraz da-
lej i dalej ulicami — koryta-
mi wysychłych rzek, pozosta-
wiając za sobą puste jezdnie
i chodniki, i nigdzie już w
lodowatej listopadowej nocy
nie było ani dźwięku ani po-
ruszenia.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

Teatr			
NOWY	„Alibaba”, 5 spektakli	3000 — 95%	
NOWY	„Lato w Nohant”, 2 spektakle	400 — 100%	
Mała Sala	„Drewniana miska”, 4 spektakle	700 — 90%	
JARACZA	„Kto się boi Wirginii Woolf”, 1 spektakl	657 — 97%	
	„O krasnoludkach i sierotce Marysi”, 1 spektakl	670 — 100%	
	„W pustyni i w puszczy”, 1 spektakl	670 — 100%	
	„Kolumbowie — rocznik 20”, 2 spektakle	1313 — 97%	
POWSZECHNY	„Tango”, 4 spektakle	2185 — 82%	
	„Niewidzialny książę”, 3 spektakle	1887 — 94%	
	„Robin Hood”, 1 spektakl	668 — 100%	
7.15	„Klamczucha”, 7 spektakli	2400 — 80%	
OPERETKA	„Piękna Helena”, 6 spektakli	4703 — 72%	
ESTRADA	Imprez sylwestrowe 11 spektakli	6600 — 100%	

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek ilości widzów do ilości miejsc na widowni.



Lewym
okiem

RZEMIEŃ I STAŁOWY PRĘT

W świątecznym numerze „Życia Warszawy” pi-
se J. Putrament, że nawet przestępstwa pospolite
mają u nas jakiś bardziej odrażający, brutalny,
okrutny przebieg niż w innych światach okolicach.
Nasi chuligani walą mocniej niż blouses noirs
i halbetarken, łamią szczyki i żebra, kopią leżące
kobiety. Nasi gangsterzy nie grożą bronią, tylko
od razu kropią z niej długo i skutecznie, zanim
zabiorą się do właściwej roboty, czyli do odczej
kasy.

Pewien autor niezwykle poczytnych powieści
sensacyjnych, niedawno zresztą ciągnący po są-
dach znanego felietonisty gwoli wyjaśnienia, czy
jest, czy nie jest pisarzem, przez wiele tygodni
zabawał na łamach „Dziennika Łódzkiego” szerokie
rzesze czytelników, zwłaszcza młodocianych,
opisami wyczynów pozytywnego bohatera swojej
powieści. Bohater — były komandos, dzielny i
śmiały, uczciwy i poczciwy — tak na przykład
opowiadał w odcinku 23:

„Wciągnąłem Roberta do pustej bramy
i tutaj udzieliłem mu pierwszej lekcji dob-
rego wychowania. Uważałem, żeby go nie
pokruawić. Po kilku bolesnych uderzeniach
zaniechał jakiegokolwiek oporu. Był bardzo
młody. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat.
Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, pchną-
łem go na krzesło i powiedziałem, że wiem
wszystko o jego cmentarnej działalności, że
znam nazwiska członków bandy i że ode
mnie zależy, czy ich wsadzę do więzienia
czy nie. Następnie dodałem, że jeżeli nie

będzie mi posłuszny to nie tylko zgnie
w kryminalne, ale przedtem zmasakruję mu
jeszcze jego piękną twarzyczkę tak, że już
nigdy żadna dziewczyna na niego nie spoj-
rzy. Dla nadania większej wagi moim sło-
wom zdjąłem marynarkę, zakasałem rękawy
koszuli i wziąłem do ręki stalowy pręt”.

W następnym odcinku akcja rozwija się po-
myślnie:

„Kłamię — krzyknąłem i trzasnąłem go
kantem dłoni w szyję. Uderzenie to jest
bardzo bolesne, a czasem może być nawet
śmiertelne”. „Nie mogłem dopuścić do tego,
aby zaczęły w nim powstawać jakies opory.
Schwyliłem go brutalnie za włosy, prze-
chyliłem głowę do tyłu i przybliżając twarz
do jego twarzy powiedziałem: — Słuchaj,
bydlaku! Nie wyprowadzaj mnie z równo-
wagi, bo mogę stracić cierpliwość. Nie mam
czasu na to, żeby się tu z tobą zabawić.
Albo gadasz zaraz wszystko, albo... — Za-
machnąłem się stalowym prętem”.

Tu — przepraszam — mała dygresja właśnie
w związku z udzielaniem „lekcji dobrego wy-
chowania”. Oto świetne pismo, świętujące nie-
dawno piękny jubileusz — „Chłopska Droga” —
uważając słusznie w numerze 1467, w artykule
J. Klimka, że za skłody wyrządzone przez dzie-
ciaków powinni płacić rodzice, wzdycha przy tej
okazji:

„Kiedy rodzice odczuwają braki swej opieki
na własnej kieszeni, może wreszcie ojciec nie
pożaluje pasa”. I dalej: „Bo przecież obo-
wiązki rodziców nie sprowadzają się do za-
pewenienia dziecku ubrania i pożywienia...”

Obowiązki te, proszę czytelników, polegają także
na niezatowaniu pasa. Walić pęta, żeby dzie-
siątki lat pamięta! Ze taki jest pedagogiczny
ideał „Chłopskiej Drogi” — muszę wierzyć tym
bardziej, że w tym samym numerze, w felietonie
„Zęba ma głos”, czytamy znów liryczne, pełne
tesknoty, a pomyślane jako humor z leżką
westchnieniem:

„Sprat mnie kiedyś ojciec rzemieniem tak,
że do dziś pamiętam. Złapał mnie za kol-

nierz i na oczach wszystkich tak spostrono-
wał moje siedzenie, że całe święta diabli
wzięli...”.

Koniec dygresji. Wracamy do powieści „Dzienni-
ka”. Odcinek 28:

„Temu szczeniaku, którego nastąpił na
moje mieszkanie, dałem parę razy po pysku
i kazałem mu się tutaj przywieźć do twojej
rezydencji. Enio leży pod drzwiami wejścio-
wymi i nie sądzi, żeby przedko odzyskał
przytomność. Jak widzisz, jakoś sobie ra-
dzą”.

Odcinek 40:

„Amando bił żonę. Walił ją grubym skó-
rzanym bykowcem, używanym przez peonów
do poganiania bydła. Obok, na kamiennej
płyce starego grobowca siedział Carlos,
paląc papierosa i najspokojniej przyglądał
się tej scenie. Alma, zakrywając sobie twarz
rękoma, jęczała glucho”.

Odcinek 48:

„Błyskawicznie trzasnęła ogromnego Wło-
cha pistoletem między oczy, a naddiegają-
cego Boba przeczuciła wprawny ruchem
przez siebie. Zatrzasnęły mały luk i upadł...
bez trudu wzięła go w szczyk z taką
siłą, że o mało nie wybiłem sobie ręki ze
stawu”.

Słynni detektywi z powieści kryminalnych do-
chodzą prawdy drogą trudnych rozumowań, wy-
silkim mózgu, błyskotliwością skojarzeń. Rodzimy
Kowerski zalałwia to chamskim szantażem: „ga-
daj, bydlaku, bo ci tym stalowym prętem...”. Jest
to metoda znacznie prostsza, zarówno w docho-
dzeniu prawdy, jak w pisaniu sensacyjnej po-
wieści. Jest też dość prosta w wychowywaniu
dzieci. Szkołą tylko, że ani dobrej powieści, ani
dobrych dzieci z tego nie będzie. Będą chuligan-
i, okrutniejsi niż gdzie indziej. Będą niezdro-
we tępokoty młodocianych do ideału mocnego faceta,
którego wszyscy się boją. Będzie J. Putrament
miał rację.

CWIEK